

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 50.723,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 14 marca 1914.** **Nr. 11.**

Mordercy ś. p. Świszczowskiego przed sądem.



Odznaczenie prezydenta miasta Krakowa

Wspaniałe sale pałacu hr. Wielopolskich były w niedzielę miejscem pięknej uroczystości. Przedstawicielstwo podwawelskiej stolicy, Rada miejska i urzędnicy magistratu krakowskiego uczciły owacyą prezydenta Krakowa, dra Leo, z racyi wysokiego odznaczenia, jakie otrzymał za swą polityczną działalność.

Dr. Leo jest jednym z najwybitniejszych obecnie polskich polityków. Stojąc na czele Koła polskiego w parlamencie i lewicy demokratycznej w Sejmie krajowym bierze on intenzywny udział we wszystkich pracach politycznych, jakie się w ostatnich czasach na terenie zarówno wiedeńskim, jak lwowskim rozgrywały. W doniosłem dziele reformy ordynacyi wyborczej do sejmu, która dla Galicyi stanowić będzie do pewnego stopnia epokę zwrotną w dziejach, dr. Leo odegrał też rolę bardzo wybitną. Kraków na tej reformie zyskuje również wiele, gdyż reprezentacya jego w sejmie, do tej pory składająca się z 4 posłów, będzie obecnie podwójnie liczna, bo składać się będzie z posłów 8-miu. Zresztą dodatnie skutki reformy idą we wszystkich kierunkach i miasto Kraków będzie wraz z całym krajem we wszystkich partycypować. To też uroczystość, która się odbyła w niedzielę w magistracie, była oficyalnym wyrazem radości, jaką odczuwa miasto z odznaczenia jego prezydenta tytułem ekscellencyi za doprowadzenie do skutku tego pożytecznego dzieła.

Najpiękniejszym momentem uroczystości były gratulacye, złożone prezydentowi przez Radę miejską. Zebrani w wielkiej sali obrad wszyscy jej członkowie powitali gromkim oklaskiem zjawienie się dra Leo, a następnie w imieniu Rady przemówił wiceprezydent dr. Szarski, dając wyraz jej uznaniu dla działalności prezydenta i jej serdecznym dla niego życzeniom.

Odpowiadając na to przemówienie prezydent Leo podkreślił harmonijne współdziałanie Rady z kierownictwem miasta od samego czasu objęcia przez niego prezydentury, t. j. od lat blisko dziesięciu. Wskazał na świetne wyniki tego wspólnego działania, które znalazły swój wyraz nie tylko we wzroście Krakowa, już obecnie Wiekiego, ale także w zupełnem zeuropeizowaniu miasta, polepszeniu stosunków w mieście na wszystkich polach. Zakończył wyrażeniem nadziei, że w odnowionym Sejmie przedstawiciele Krakowa razem ze wszystkimi polskimi posłami pracować będą dla pożytku i dobra kraju i społeczeństwa.



Odznaczenie prezydenta miasta Krakowa: J. E dr. Juliusz Leo.

Oprócz Rady składali prezydentowi gratulacye przedstawiciele różnych instytucyj kulturalnych i społecznych miejskich, reprezentanci władz, oraz urzędnicy i funkcyonaryusze magistratu.

Nadmienić jeszcze należy, że prezydent Leo jest pierwszym ekscellencyą, czynnym jako prezydent Krakowa.

Illustracye nasze przedstawiają uroczyste zebranie wszystkich członków Rady z prezydentem i wiceprezydentami w pośrodku, oraz grupę uczestników uroczystości, opuszczających salę posiedzeń Rady.

Zgon kardynała Koppa.

We Wrocławiu umarł w tych dniach tamtejszy książę Kościoła, zarządca jednych z największych dyecezyj świata katolickiego, sławny wróg naszego narodu, kardynał Jerzy Kopp. Całą swą działalnością jako biskup wrocławski, mąż zaufania Bismarka

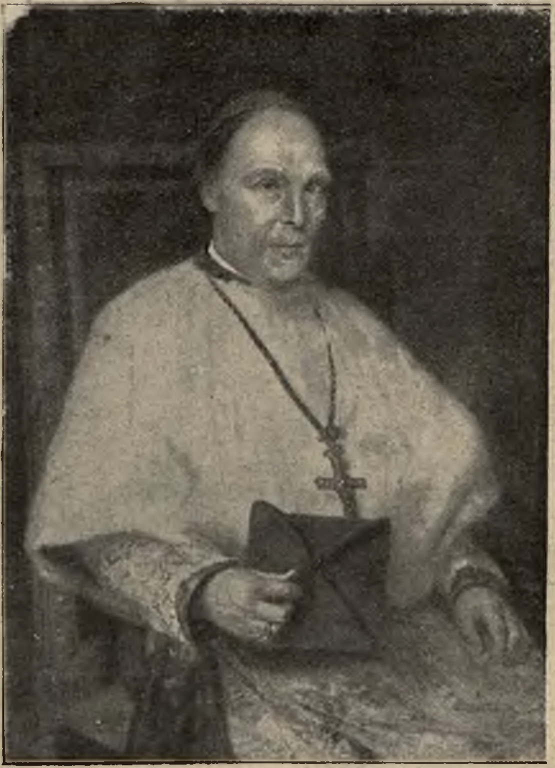


Odznaczenie prezydenta miasta Krakowa: Uroczyste zebranie krakowskiej Rady miasta. 1) J. E. prezydent dr. Leo. 2) Wiceprezydent dr. Szarski. 3) Wiceprezydent Sare.

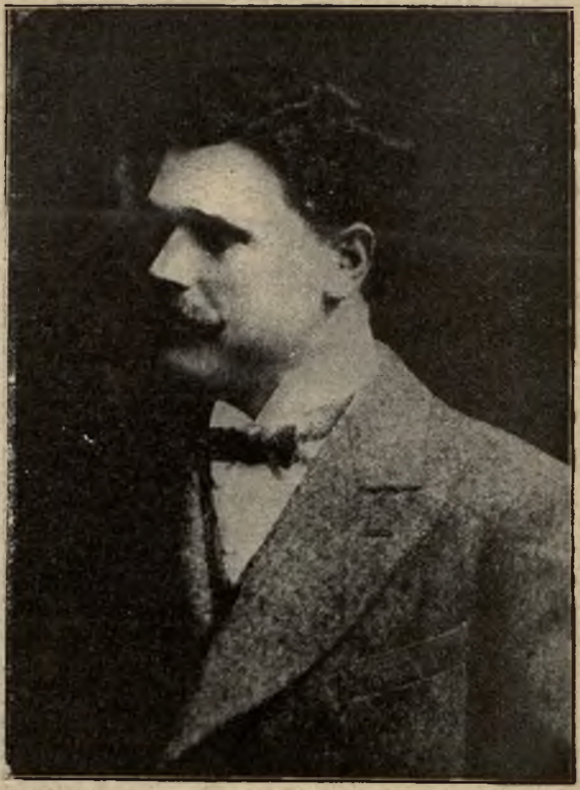


Echa zamachu w Debreczynie: Domniemany sprawca zamachu Catarcu.

polityki, zaprezentował ś. p. kardynał Kopp wielkie zdolności i żelazną energię w dochodzeniu do postawionego sobie celu. Urodzony dnia 25. VI. 1837 roku w Duderstadt (Hanower) jako syn ubogiego tkacza, zdolnościami i pracą doszedł do najwyższych godności świeckich i duchownych. Po skończeniu gimnazyum dwa lata był telegrafistą, a wstąpiwszy do seminaryum, wyświęcił się na kapłana w roku 1862. Szybko postępując w hierarchii kościelnej, w roku 1871 został już notaryuszem apostolskim, a w dziewięć lat później otrzymał sakrę biskupią na pasterza dycezyi Fuldy.



Zgon kardynała Koppa: Ś. p. ks. kardynał Kopp.



Echa zamachu w Debreczynie: Domniemany sprawca zamachu Kiryłow.

i rządu pruskiego, wicemarszałek Sejmu śląskiego austr., zmarły purpurat prowadził nieubłaganą walkę z polskością i słowiańszczyzną.

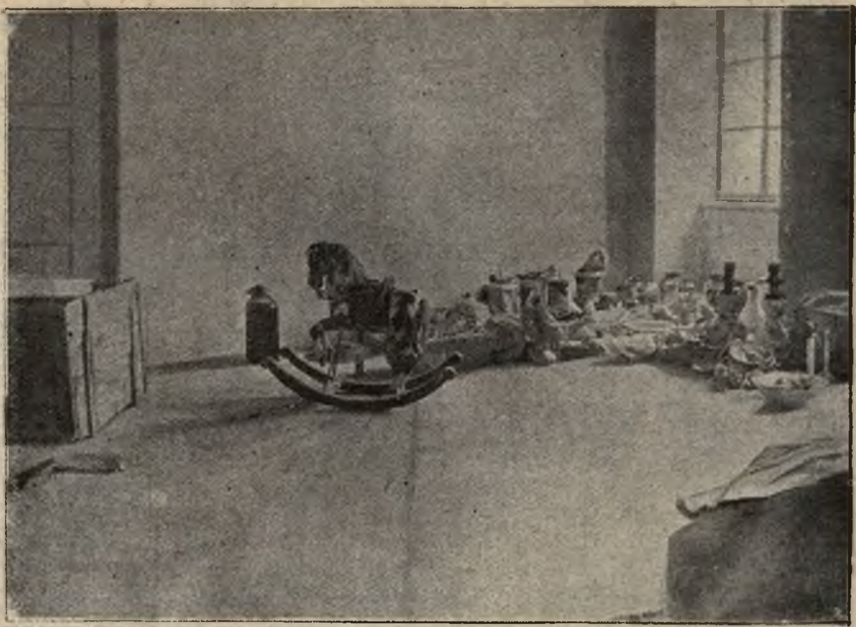
W naszej historyi zapisał się zmarły Kardynał jako nieprzejednany hakatysta, tem groźniejszy, że z tronu biskupiego uprawiający politykę pruską. On to zabronił dzieciom śląskim uczyć się i modlić z książek polskich, on gnębił i wydalał księży Polaków, a także polskich polityków i obywateli — tego mu zapomnieć nie możemy. Jako człowiek i mąż czynnej

W roku 1884 powołany został na członka pruskiej Rady państwa, a w roku 1886 otrzymał godność członka pruskiej Izby panow. Od roku 1887 był biskupem wrocławskim, w styczniu zaś 1893 dał mu papież Leon XIII. kapelusz kardynalski. Zmarły kardynał odegrał pamiętną rolę w conclave roku 1903, sprzeciwiając się kandydaturze Rampolli na stolicę Ojca św.



Odznaczenie prezydenta miasta Krakowa: Uczestnicy uroczystości opuszczają salę posiedzeń Rady m. 1) J. E. prezydent dr. Leo. 2) pos. Jan Kanty Federowicz, prezydent Izby handlowej krakowskiej.





Odysseja ks. Wieda: Tymczasowa niezbyt wspaniała siedziba władcy albańskiego.
Sypialnia „królewska". Pokój małej księżniczki.

10.000 rubli na oświatę ludową.

Oświata ludowa w Królestwie, wspomagana tak wydatnie tylko ofiarnością prywatną, otrzymała znów hojny dar w kwocie 10.000 rubli. Sumę tą dał



10.000 rubli na oświatę ludową: Seweryn ks. Czetwertyński.

w tych dniach Seweryn książę Czetwertyński, prezes Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem, na wpisy dla synów włościańskich, uczęszczających na kursy rolnicze Centr. Tow. Roln.

Obok licznych i tak wielkich ofiar na cele oświaty, jakie w ostatnich czasach sypią się ze szkatuł prywatnych, i ta hojna ofiara obywatela - ziemianina świadczy o wzmożeniu się wśród naszego społeczeństwa poczucia obywatelskości. Doniosły cel, jakiemu ma służyć tj. nauce zawodowej naszych rolników, jest wymownym dowodem, że polscy ziemianie rozumią znaczenie reform społecznych i ekonomicznych, na roli.

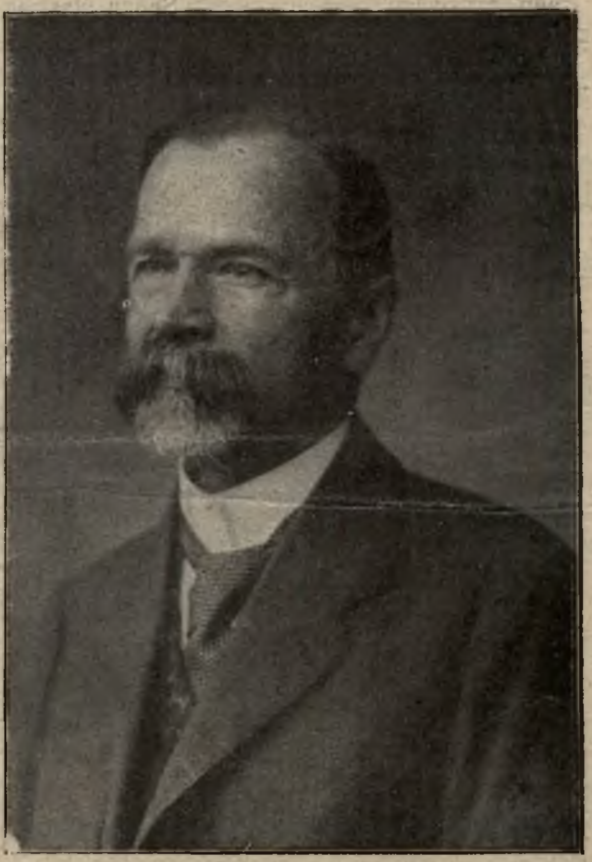
Echa zamachu w Debreczynie.

Jak to już pisaliśmy w poprzednim numerze, sprawcy dynamitowego zamachu na biskupstwo w Debreczynie zdołali bezkarnie ukryć się, tak, że w pierwszych chwilach śledztwa policya nie wiedziała, gdzie ich poszukiwać. Początkowo posądzano o zamach rumuńskich agitatorów i Węgrów, nici jednak uchwycone przez władzę nie prowadziły do wątku. Charakter zamachu i jego podłoże polityczne naprowadzały na domysł, że inicyatywa oraz plan jego powstały daleko za granicami Węgier; tutaj jednak dochodzenia były bardzo trudne, bo musiałoby wniknąć w tajniki polityczne obcego państwa.

Z aresztowanych dość licznie osób, pośrednio w sprawę zamieszanych, najbardziej obciążonymi są: student Catarcu i Rosyanin Kiryłow. Stwierdzono, że w dniu zamachu bawili w Debreczynie, a następnie przez Bukareszt uciekli do Rosyi. Koło obydwóch przyłapanych i aresztowanych następnie w Bessarabii nagromadziło się wiele poszlak, wielce ich obciążających.

Wykreślenie z listy adwokatów.

Sąd okręgowy warszawski, na rozprawie w tych dniach odbytej przeciw znanemu w Warszawie mecenasowi Adolfowi Suligowskiemu postanowił wykreślić go z listy obrońców przysięgłych. Przedmiotem rozprawy, w której sąd okręgowy występował jako instancya dyscyplinarna, było zdarzenie, które miało miejsce dnia 7 b. m. w zjeździe sędziów pokoju m. Warszawy. Mecenas Suligowski, stając tam w charakterze świadka, zwrócił uwagę przewodniczącego na nieobecność w sądzie księdza katolickiego, przyczem, przewidując, że jako świadek będzie po wołany do złożenia przysięgi, oświadczył, iż przysięgę będzie mógł złożyć jedynie przed księdzem katolickim w języku polskim. Zważywszy nieobecność księdza, mec. Suligowski prosił o odroczenie sprawy.



Wykreślenie z listy adwokatów: Mecenas Adolf Suligowski.

Obecnie sąd okręgowy skwalifikował wystąpienie mec. Suligowskiego jako karygodne, odbierając mu prawa adwokackie. Mec. Suligowski jest doktorem praw „honoris causa" uniwersytetu lwowskiego.





Odysseja ks. Wieda: Tymczasowa niezbyt wspaniała siedziba władcy albańskiego.
Sala „tronowa". „Wielka galerya".

J. POWALSKI.

•• SZTANDARY •• KSIĘCIA JÓZEFA.

11

Ignacy powziął jakieś podejrzenie. Nuż chce się upewnić, że nie mają nikogo do obrony, ani on świadka, i sprzątnąć ich po cichu? Wnet zawstydził się tego przypuszczenia. Przecież jeśli chciał, to mógł ich zarznąć we śnie jak kurczęta. A on ich wziął, położył, przyjął w dom.

— Nie szli, — rzekł. — My lasem chcieliśmy skrócić sobie drogę ku gościńcowi, i doszliśmy tu przypadkiem.

— W wojenny czas dak nikomu wierzyć nie można, — powiedział chłop podejrzliwie. — A jakiegoż wy pułku?

Wtem drzwi chrobotnęły, i ozwało się za niemi niecierpliwe słowo, którego Ignacy nie dosłyszał. Kudłaty człowiek stropił się.

— Bóg z wami, — rzekł. — Nie moja w tem głowa. Wojenny czas, dak trudno, wierzyć każdemu niebezpiecznie.

— Na nas się waćpan nie zawiedziesz, — powiedział Ignacy. — Rozumiem to, że w tych czasach ostrożności nigdy nie za wiele.

— Dak ja to raz wraz powtarzam, — rzekł Litwin z przekonaniem. — No trudno. Pani wola, nie moja. Przyjdzie się za to cierpieć, nie moja będzie wina.

Wzmianka o pani dopełniła konstrukcyi Ignacego.

— Podziękujże waćpan tej pani, — żywo podjął Ignacy — i powiedz, że wdzięczność nasza do grobu się nie skończy.

— Dak pewnie, — zgodził się Litwin.

Wtem drzwi stuknęły jeszcze niecierpliwiej i Litwin spłoszony powiedział spiesznie:

— Przyniosę tu co trzeba.

Wyszedł, zostawiając kaganek na stole. Za drzwiami zamkniętemi usłyszał zaraz Ignacy szept żywy i zniecierpliwiony:

— Telesforze, bałwanie! Jak oni umierają z głodu, to kto widział, żeby ich rozpytywać!

Szept zatarł się w oddalających krokach.

Ignacy tęsknie się uśmiechnął, przeciągnął, i pokulał do swego tapczana.

Przy mdłem świetle pryskającego na stole drobniuchnym języczkiem kaganka, rozpatrywał urządzenie izby.

Była niska, z grubemi belkami w pułapie, cała wybielona starannie. Podłoga z białych desek, zadeptana. W mrokach ćmiły jakieś skrzynie, jakieś kożuchy czy skóry zwierzęce, wiszące na długim drągu wzdłuż ściany. Stół był na krzyżownicach, zydle proste, tapczany po wierzchu przykryte radowiną, widać by obcy nie pobrudzili pościeli. Ze ściany nad drzwiami sterczały gałęziste rogi jelenie.

Ignacy w monotonnym rytmie oddechu Bromirskiego zasłuchał się w głosy domu, które go z rzadka i niepewnie dochodziły, i wczuwał się w specyalny zapach domowy, w którym była woń skór, chleba, i słodki obrzask schnących drew.

Nagle gdzieś drzwi dalsze skrzypnęły, potem bliższe i Litwin wszedł znowu.

Przyniósł chleb, wędlinę, butlę zieloną z wódką, na ramieniu bieliznę i jakieś ubrania niewyraźne.

Pouczył Ignacego, że ma się wódką natrzeć i myć, bo od wody po takim mrozie pogniłoby mu ciało. Spojrzał na Bromirskiego, wziął kaganek, nachylił się nad nim, pomacał po czole.

— Niechaj śpi, — rzekł po namyśle.

— Chory? — spytał Ignacy.

Litwin tylko ruszył niepewnie głową i wyszedł.

Ignacy rzucił się na chleb, na wędlinę. Bał się napić wódki, czując się czczym i osłabłym. Rozrywając zębami jedzenie, zrzucał swoje łachmany. Zwinął je ciasno, związał do wyrzucenia.

Potem gorączkowo, z zaciśniętemi z satysfakcyi zębami, począł się nacierać wódką, czyścić, szorować. Nie wiedział, jak długo to trwało. Miał pożądanie gwałtowne stania się jak najczystszym, najporządniejszym. Żałował, że nie może się wykąpać, wymoczyć w wodzie. Wreszcie ubrał się w bieliznę, w jakieś stare ubranie wytarte, z wdzięcznością owinął poranione nogi w świeże onuczki i nałożył łapcie.

Skończył jeść, i usiadł na tapczanie. Po wielkim ruchu i szeleszczeniu uciszył się, wszedł znów w swój los. Siedział, bardzo znużony, i pełen jakiejś rzewności. Zamykał oczy na wszystko inne, i rozważał tylko swoje położenie wobec tej pani, rzadkiej kobiety, niezwykłej bezwątpienia, która go przyjęła (Bromirskiego do swych rozmyślań nie wciągał).

Budował bajki najrozmaitsze. Już marzenia przywierały mu oczy, wysnuwały senność, gdy nagle drzwi się z rozpędem otwarły, i wszedł najpierw Litwin-sługa, a za nim kobiety.

Ignacy porwał się, zapominając o bolu nóg, i złożył ukłon wedle najwyszukańszych form.

Przed sobą ujrzał chciwymi oczyma starą, suchą w zielonych jakichś sukniach matronę, z której twarzy żółtej i zwiędłej biła zgroza i zdumienie. Pierwsze jednak, silne wrażenie tej maski, łagodziła jej nieruchomość: po pewnym czasie wzrok oswojony godził się już z tragizmem rysów, zapominał o nim, widząc w tem rzecz codzienną i konieczną. Na głowie miała czepiec staroświecki, w rękach różaniec.

— Ot, — rzekł Litwin pokazując szerokiem gestem ku obcych, — jacy oni.

Stara jejmość patrzyła, ruszając ustami. Za nią stała druga kobieta, i zabrała odrazu oczy Ignacego, gdy tylko raz jego wzrok jej dotknął.

Była wysoka, młoda, rozkwitła w pełnych, lecz jędrnych formach. Miała czarne włosy, zielone oczy, czerwone usta, twarz okrągłą, gładką, szyję wyniosłą, giętką i białą. Stała za starą, w jakiejś pełnej swobody i pewności postawie. Na jej ustach pływał uśmiech znikomy, oczy o wielkich białkach, o rzęsach długich jak czarne promienie, patrzyły spojrzeniem bystrem i kpiącem, od którego Ignacego przebiegła gorączka. Opamiętał się, i przedstawił się obu damom razem, wymienił nazwisko i stopień śpiącego, i podziękował za gościnę.

Stara dama wysłuchała go z przerażeniem, potakując głową.

— A tak! A tak! — potwierdziła, gdy skończył. — Otóż macie waćpanowie nasz czas nieszczęśliwy. A gdzież cesarz?

Brzmiało to tak, jakby spodziewała się go trochę u siebie, lecz i obawiała tej wizyty.

— Cesarz pojechał dalej, — rzekł Ignacy. — My ledwieśmy się wlekli w ostatkach armii, pozbawieni będąc koni, obuwia i pożywienia.

— A tak! — potwierdziła znów jejmość.

Namyśliwszy się, dodała:

— A my tu przed przechodem wojsk schowały się z córką i z tym naszym sługą, Telesforem. Synów niema, jeden był, to i zginął. Niema. Córki dwie drugie zamężne w Witebszczyźnie. Ta tylko, Kostusia. Piękna, ale cóż, kiedy wojenne takie nieszczęśliwe czasy, że o kawalerach to i nie pytaj się. Niema.

— Ale ot, mamo! — upomniała niecierpliwie matkę panna. — Pan pewno głodny, to jeść raczej prosić, niż rozpowiadać.

— Otóż to, — rzekła matka. — My już i zapomniawszy, jak ludzi przyjmować. Prosimy pięknie pana kawalera.

Ignacy ruszył. Jeszcze usprawiedliwiał się ze swego stroju. Ale na to panna odpowiedziała mu krótko i prosto:

— Nie masz się pan z czego wymawiać: samam mu to dała, i jakie jest, wiem dobrze. Mnie to raczej pana przepraszać, ale innego nie mamy.

Przeszli na drugą stronę sieni. Tu był pokój duży, równie niski. Zasiedli do wieczerzy zastawionej na grubym obrusie, pod świecznikiem dwuramiennym, gdzie płonęły łojówki. Dano jakąś kaszę gorącą, ze skwarkami.

— Zapieramy, tylko się zmierzchnie, okiennice, żeby do światła nie zwabiali się źli ludzie, — prawiła jejmość. — Bogu to jednemu wiadomo, co z tego wszystkiego będzie.

Panna bacznie zważała na gościa. Podsuwała mu, zapraszała. Ignacemu biło serce.

Panna miała szczególny sposób spoglądania, gdy, trzymając oczy na talerzu, nagle podnosiła powieki i zwracała do niego swe wymowne, czyste, mocne źrenice, lśniące w owalu niebieskawego białka, pod czarnym, promienistym łukiem rzes. Był to jakby ustęp z jakiejś pieśni, skończony, zamknięty i cały, gdy znów opuściła powieki.

Ruchy miała powolnie się zaczynające, i giętkie. Zdawało się, że to wszystko ustawicznie coś mówi, coś znaczy, odnosi się wszystko do jakiejś treści, jakby spełniała jakiś rytuał z łatwością i przyjemnością.

Ignacy trwał w zawieszeniu: czyhał na zrozumienie tego czegoś, i to go napawało rozkoszą, niecierpliwością, zaciekłością. Gdy mu miało to wytężenie, za każdym razem uczuwał się czemś z nią zbliżony.

W czasie tego jedzenia poznał ją z mnóstwa stron. Ruchy giętkiej szyi pod ciężarem włosów na karku, zarys policzków, podbródka cienkiego a krótkiego, profil, wgłębienie oczu pod czołem, ruchy powiek, ruchy ramion okrągłych i pełnych, ruchy rąk, wypukłość biustu. Ujrzenie powtórne tego samego szczegółu zalewało go wdzięcznością i słodyczą. Ujrzenie nowego sprawiało mu tak silną rozkosz, że przestawał słyszeć, co mówiono. Oczyma błyszczącemi jak w gorączce upewniał się, że to wszystko jest przed nim, i właśnie w tej pannie. Nie pojmował.

Siedzieli jeszcze i rozmawiali, gdy przyszedł Telesfor. Wszedł i stanął.

— Ten drugi zbudził się, — rzekł, — i coś powiada, no rozumieć jemu trudno.

Ignacy, jak otrząśnięty niespodzianie ze snu, zerwał się i z trudem ruszył ku drzwiom, usprawiedliwiając się przed kobietami. Ale one także wstały, i poszły za nim.

Ignacy stanął nad leżącym. Całe jego zajęcie poszło teraz ku towarzyszowi.

Stało się nawet mocniejsze, lepsze, jakby dojrzało i wzmogło się przez krótki czas wieczoru.

— Jakże? — spytał. — Jesteśmy w gościnnym domu. Jak się kolega czujesz?

— Dobrze, — odrzekł Bromirski z trudem. — Gdyby umyć nogi, palą.

— To ja, — powiedziała żywo panna, wysuwając się.

Zmęczone oczy Bromirskiego przeszły po niej. Patrzyła na niego pilnie, czy się zgodzi.

— Ech, — rzekł, — to nie panieńska robota. Dziękuję, ładna panienko. Ale to już my we dwu...

Zostali tedy sami. Bromirski usiłował się umyć. Z niepokojem zauważył Ignacy zupełną jego bezsilność. Nacierał i mył go sam. Ubrał go w bieliznę, opatrzył mu nogi. Bromirski nawpół spał. Przyniesiono mu jedzenie, którego mało co przełknął, i znów się położył.

Ignacy, widząc, że usypia, powrócił do stołowego.

Znów przeniósł wszystkie myśli na tę czarującą pewność, że znowu ujrzy te zielone oczy pod czarnemi brwiami, czarny kask włosów, pod nim czoło, szyję, profil, usta przecudowne, mówiące.

Wszedł z pośpiechem, którego nie mógł pohamować. Co za szczęście: panna siedziała sama, przy kominie, w którym leżały węgle. Wieczorem nie palono z przezorności.

Podniosła głowę, jak przewidział. Podniosła wielkie oczy żywe i czyste, jak przewidział. I z uśmiechem poważnym, pytała go żywo:

— Usnął?

— Spi.

— Nie chciał jeść?

— Trochę zjadł.

Ignacy siadł na stołku, także przy kominie. Umilkli oboje. Ona szyła pilnie i sprawnie.

Ignacy patrzył, i znów miał to wrażenie, że ona jest istotą zupełnie obcą, inną, niepojętą, działającą wedle rytuału nieznanego, tajemniczą i słuchającą innego porządku niż wszyscy.

Dumał nieruchomo i zsuwał się w coraz głębsze, bardziej odwieczne i coraz prostsze warstwy myślenia.

Było mu niewypowiedzianie dobrze. Nawet nie patrzył na nią, tylko na węgle, ale czuł ją tak blisko.

Dumał obrazami, które to szły, to stawały, to wracały się uparcie do jednego, to płynęły dalej. Były bez składu i ładu. Tyczyły się jakiś wspomnień urywkowych, jakichś chwil obojętnych z dzieciństwa. Wynurzały się uśmiechnięte z blaskiem prześlicznym dziecinnego szczęścia, by się rozwiać odrazu w nicość, ustąpić miejsca innym. Zostawało po nich bolące prawie pragnienie zamknięcia, ujęcia tego wszystkiego co minęło bezpowrotnie. Wzbierało w nim wielkie współczucie dla rzeczy mijających, jakby on sam tylko stał poza niemi. Ozłacało go to całego, i cały świat był mu poddany, jak w wieczornej, kojącej ciszy i złocie leżące pola.

Chciał to wyrazić i wskazać swej towarzysce, aby oboje tak uciszeni stali ponad tym wszystkiem co się zdarzyć może. Nie spostrzegł się, że mówi do niej w myśli najpiękniejszymi i najczulszymi słowami. Ona zasłuchała się jakby w to w milczeniu.

Nagle rzekła zniżonym i delikatnym, wnikliwym głosem, jakby odpowiadała na jego marzenia:

— Dość na dzisiaj. Późno już, i pora iść spać.

Wstała, on także. Wyciągnął rękę, bo nie mógł tak odejść. Podała mu swoją z uśmiechem. Trzymał ją chwilę jak czar. Potem odszedł, objąwszy ją jeszcze i jeszcze oczyma.

Zasnął, mając nieustanny czar tego poznania nad sobą. Zbudził się rano świeży, natężony cały jak struna łuku w stronę przygód nowych.

— Kocham się, nie ulega wątpliwości. Kocham

się! — powtarzał sobie w radości, od której mu biło serce i jaśniało w oczach wszystko.

Bromirski zbudził się także.

— Jakże tam? — zawołał ku niemu radośnie Ignacy.

— Bardzo dobrze, jak widzę, — odpowiedział mu towarzysz.

Ignacy zaśmiał się.

— Wyspaliśmy się obaj znakomicie! — Nogi bolą jeszcze trochę, ale to nic! — zawołał raźno.

— Ze mną jakoś mniej znakomicie, — rzekł Bromirski.

— Cóż takiego? — zaniepokoił się Ignacy z tą samą żywością.

— A cóż, — przychodzi w końcu i to. Ponoś nie pójdę z tobą, kolego, dalej. Jeśli mnie tu przetrzymają, tem lepiej. Jeśli nie, położę się pod chojakami litewskimi, aż do czasów trąby archanioła.

Ignacemu, gdy posłyszał o swem odejściu, nagle odpadła żywość, jakby popiół przysypał radość.

— I ja się nie mam po co spieszyć, — rzekł po chwili. — Widzieliśmy, co się dzieje. Niepodobieństwo odszukać całą dywizyę, a cóż dopiero kompanię jakąś tam...

— Tak? — spytał Bromirski, — ano, jeśli tak... pewnie, to pocóż masz się spieszyć?

— Cóż to, — powiedział Ignacy, ruszając ramionami, — nie moja wina. Tego żaden obowiązek nie może wymagać, aby się wlec boso i nago po śniegu i zdychać z głodu. I poco to komu? Co komu z tego przyjdzie?

— A pewnie, — potwierdził Bromirski.

Ignacy skończył się ubierać w milczeniu. Potem wyszedł do sieni, ostrożnie, by stuknięciem drzwi nie zbudzić domowych.

Wyszedł przed dom. Już Telesfor kręcił się koło gospodarstwa. Oprócz niego był jakiś chłopak wyrostek, silny, zacięty ponuro, i baba. Ignacy zwrócił uwagę na las milczący wokół.

Musiało to być mieszkanie gajowego, tylko nieco porządniejsze, może z celem pobocznym służenia za gościnę przy polowaniach.

Tuż zwierały się gałęziami podniebne jesiony, nakrywając z wysoka niskie, przypadłe do ziemi strzechy zabudowań. Gąszcz lasu, sina od nagich gałęzi i zarośli, tonęła i zacierała się w mgle gęstej i białej.

Ignacy rozważał kierunek, w którym iść może teraz wojsko. Gdy tylko wyszedł z przed oczu Bromirskiemu, ogarnął go głęboki smutek. Nadsłuchiwał ciszy lasu, która czasem przyniosła trzask łamiącej się gałęzi, albo dalekie krakania.

Wtem usłyszał skrzyp drzwi, i obróciwszy się, ujrzał zakutaną w barani kożuszek starą jejmość o tragicznie zastygłych rysach.

— Waćpana już pewnie w pole ciągnie, do towarzyszy, — rzekła, starannie dbając o okazanie wielkiej grzeczności. — Ale ja ci co innego zaprojektuję: zostańcie waćpanowie obaj tu u nas. My tu wielkiego nic wam nie damy, ale czem chata bogata, tem rada. Ot, po prostu, po staroświecku. Jak jest, to czemu się z drugimi nie podzielić?

Ignacy jął okazywać zmieszanie, niepokój, czy jej subjekcyi nie sprawią.

Jejmość tem mocniej nastawała.

Wrócili oboje na śniadanie. Wyszła i córka.

Ignacy zdumiał, oczarowany, oniemielony. Czy to ranek, czy nowa jakaś i prześlicznie dobrana niebieska jak pawie pióra suknia, ale panna Konstancya wyglądała tak cudnie, jak nigdy nie przypuszczał, że mogła wyglądać. Twarz i szyję odkrytą miała oblane jakiemś subtelnem, różanem światłem, jak zorza.

Powitała go spojrzeniem ciekawem i chętnem, ale tak krótkiem, tak szybko zabranem i ukrytem w lekkim rumieńcu, że uczuł w niem jakby wstyd i obawę przed nim, od czego cały wezbrał nagłą tkliwością, chęcią uspokojenia, przepraszania, błagania o coś — i kompletnie bezmyślnie coś mówił i robił, zasiadając do stołu.

— Kostusiu! — zniecierpliwiła się matka. — Ja mówię, a ty nie słuchasz. O czem ty myślisz? Idź, czy niema białego chleba.

Dziewczyna poczerwieniała nagle, i wyszła spiesznie. Ignacy powtarzał w myśli, że ją woli od wszystkich, że go wszystko nic nie obchodzi, że ją kocha.

Po śniadaniu przenieśli się wszyscy do izby, gdzie leżał Bromirski. Ignacy z butną decyzyą zostania.

Bromirski, dźwignąwszy się z trudem na łokciu, usiłował jaknajlepiej przywitać te panie. Przeprosił je za najście, wychwalał ich gościnność i nadzwyczajną dobroć.

Jego głos ciepły, a głęboki, wytworność i grzeczność, których ze swobodą używał, podziałały natychmiast na kobiety.

Matka, jak koń bojowy grzebiący nogą na odgłos trąbki, natychmiast wyprostowała się, rozjaśniła twarz uśmiechem i poczęła również z eleganckiego tonu odpowiedź z zaofiarowaniem gościny na czas nieograniczony.

Córka, która mniej w życiu widziała i której wytworność gościa nie przypomniała żadnych salonów i wielkiego świata, zapatrzyła się na niego, w podziwie dla niego samego, tak jak go widziała: ze zmęczoną, brązową twarzą, ze srebrno-siwymi, krótkimi i gęstymi włosami, z oczyma mądrymi i ustami z jakimś uśmiechem niedokończonym, drwiącym może, może pobłażliwym w kątach. Leżał i z jego długiej i chudej postaci widziała tylko podniesiony tors, szerokie ramiona, i dobrze osadzoną na swobodnej szyi głowę.

Już była postanowiła całą radość i ciekawość z przybycia tych niespodziewanych w odcięciu od świata mężczyzn przenieść na Ignacego. Teraz ujawniła jej się nowa pozycya, ten starszy, wyższy oficer, od którego tchnęło niezależnością osobistą, pewnością inną całkiem od młodej, zuchowatej buty Ignacego, przechodzącej co chwila w zamodlenie przed nią. Ignacy jej pochlebiał i cieszył ją, ten leżący pociągał i niepokoił, wzbudzał chęć nawpół wrogą zdobycia od niego podziwu, i gotowość uczczenia go, bezwzględnego posłuszeństwa, jak ojcu, jak starszemu, gdyby tego łagodnie zażądał.

Ignacy, tknięty jej zapatrzeniem, w którem widział wyraźny podziw i szacunek, odczuł właściwą krótkość swej znajomości i wszelki brak podstaw do liczenia na cośkolwiek z jej strony. Ucisnęło go to jak głaz zwalony na duszę.

Bromirski odpowiadał tymczasem:

— Trudno mi, leżącemu jak kłoda, certować się z przyjęciem tak uprzejmie ofiarowanej gościny, choć jasno sobie wyobrażam, ile tem trudów, kłopotów i wydatków ściągnę na głowę pani dobrodziejki i jej córki.

Matka znów odpowiadała w podrygach staroświeckich. Córka, uśmiechnąwszy się jak anioł, rumiany od ognia płonącego w kominie, rzekła z wylaniem:

— Nic a nic. Najmilszym będziesz dla nas waćpan gościem, któremu ja... my z mamą... — koniec utonął w rumieńcach i uśmiechach.

— Przyznam się zresztą waćpanu, — mówiła matka, biorąc teraz ton poufny, — iż bardzo mi miło i dlatego jeszcze mieć tak zacnych gości, że ten Telesfor z Apolinarym, chłopcem, niewielka to dla nas w razie czego obrona. Panowie dwaj, to już inna konjunktura.

— O! — rzekł Bromirski, — pani dobrodziejko, ile zdołam, tyle dopomogę, choć nie wielem teraz wart. Ale mi to nad wyraz przykro, że muszę osłabić nadzieje pani dobrodziejki. Widzisz pani dobrodziejka sama, jak w złym jestem stanie.

Spojrzenie starej damy poszło teraz na Ignacego, i uśmiechnąwszy się mile, zagadnęła:

— Ale pan Kleszewski będzie nas wszystkich bronił.

Była na rozdrożu. Oprócz myśli o obronie w razie napadu, silnie też w niej tkwiły inne nadzieje. Obejrzała dokładnie i oceniła obu gości okiem doświadczonem i osądziła ich obu jako ewentualnych mężów Kostusi. Zrazu wydał jej się Ignacy lepszym: był młody, z dobrego domu. Opatrzność go niewątpliwie przywiodła tu z troski o Kostusię.

Teraz Bromirski wydał jej się jeszcze lepszy. Ignacy młodzik, dzieciak, cóż on mieć może? — lat dwadzieścia, a i to niewiadomo. Bromirski człowiek dojrzały, pewny, wyrobiony. Byle nie był żonaty. Obrączki nie miał, ale kto go tam wie. Siedziała i rozmyślała o podstępie wywiadowczym i zwrocie postępowania w razie jednym lub drugim.

Ignacy wśród tego odpowiadał jej:

— Żołnierzem jestem, pani dobrodziko, i długo zostać nie mogę.

Powiedział to, by przecież poruszyć pannę, by przecież zwróciła znów na niego uwagę. Nie śniło mu się odchodzić.

Słowa jego największy wpływ wywarły na matkę.

— Ale ot! — rzekła żywo, udając pogróżkę, — ani mi tam waćpan o tem nie wspominaj. Zostaniesz i koniec. Już tam ci nieszczęśnicy niech giną, skoro takie Boskie dopuszczenie, ale skoro waćpana Bóg najwyższy tu doprowadził, to widać, że coś z waćpanem zamierza. Grzechby sprzeciwiać się.

Teraz i panna zwróciła się do niego, zbudzona słowami matki:

— Zostań waćpan, zostań! — szepnęła, podniósłszy nań oczy.

Przez Ignacego przepłynęła rozkosz. Miał wrażenie na sekundę, jakby od szczęścia rozszerzyła mu się, urosła nagle dusza. Od tego wzrostu wstały też jasno nagle inne jej, dawne władczynie.

Stanął jak nad otwierającą się niespodzianie przepaścią. Kadecka modlitwa „Święta miłości kochanej ojczyzny“ z tak mocnem wzruszeniem i zaprzysiężeniem wierności w duszy, jak nic innego potem nie wzruszało. Honor wojskowy, który nigdy nic nie kosztował aż do ostatnich czasów, zawsze sam z siebie był czysty i cały. I z drugiej strony ta największa rozkosz, to najwierniejsze szczęście, jeszcze z dzieciństwa i przez całe życie, co było najpiękniejszego, najmilszego, najgłębszego, najbardziej swego, czem właśnie jest ona, ta panna z takimi oczyma, z tymi ustami, tą postacią. Jak się z tem rozstać, co jest samym sobą, co jest wszystkiem? Ją odrzucić, gdy go chce zatrzymać?

— Tamto odrzucić!

Widząc, że nic nie mówi, matka, która wstała i miała się ku drzwiom, kiwnęła na córkę. Gdy wyszły do sieni, szepnęła jej cicho:

— Trzeba go, Kostusiu, zatrzymać.

Ciąg dalszy nastąpi.



Stara jejmość patrzyła, ruszając ustami. Za nią stała druga kobieta.

Kuchnia szkolna.

Do najbardziej na podniesienie zasługujących objawów naszego życia społecznego należy reformujące się na coraz lepsze nasze szkolnictwo niższe i średnie. Ta dodatnia reforma, ujawniająca się we wszystkich dzielnicach, pozwala nam stawiać dość optymistyczne horoskopy o pokoleniu, „które idzie“. Właśnie z tej dziedziny ulepszania wychowania szkolnego naszych przyszłych żon, matek i gospodyń domowych mamy do zanotowania dodatnią nowość, wprowadzoną do niektórych szkół żeńskich w Galicyi. Idąc za wzorem szkół żeńskich zagranicą, wprowadziła Rada szkolna krajowa t. zw. kuchnie szkolne, w których obok wykładów teoretycznych odbywa się praktyczna nauka gotowania. Inicyatywy Rady szkolnej chwyciły się energicznie dyrektorki kilku szkół i przy poparciu inspektora Kaczorowskiego powstały w tym roku już cztery kuchnie szkolne w okręgu sanockim. Uczennice szkół im. królowej Jadwigi w Sanoku, w Posadzie Olchowskiej, w Rymanowie Zdroju i w Klimkówce, obok godzin geografii, historyi etc. mają też wykłady o pożytecznej sztuce gotowania rosołu i pieczeniu mięsa.

Ilustracya nasza przedstawawia: przygotowanie w kuchni i odbiór naczyń.



Czworonożni przyjaciele ludzkości: Z londyńskiej wystawy psów „pracujących“ w Czerwonym Krzyżu, policyi i t. d.

Czworonożni przyjaciele ludzkości.

Do tej pory cywilizacya pozbawiała psów w miastach ich roli pomocników ludzi w swych pracach, degradując ich wyłącznie prawie do roli zwierząt-zabawek. Dopiero niedawno i w miastach zaczęto znajdować dla czworonożnych naszych przyjaciół odpowiednie „zajęcia“. Zaczęto od przysposabiania psów do służby policyjnej, co już i u nas jest znane i popularne poniekąd. Jednakże zagranicą, zwłaszcza w Angli, używają już psów i do czynności humanitarnych. Mianowicie funkcyonują psy z wielkiem powodzeniem przy ambulansach Czerwonego krzyża w angielskich oddziałach wojskowych zarówno w Anglii jak w Indyach. Piesek taki zaopatrzony jest, prócz opaski, która odznacza jego „przynależność“, w skrzyneczkę z napojem rzeźwiącym, materyałami opatrunkowemi, lekarstwami i t. p., czem może posłużyć się zarówno ranny lub chory, jak sanitaryusz. Zmyślność psów w tym kierunku nie pozostawia nic do życzenia. Szczególnie odznaczył się w układaniu psów do „służby sanitarnej“ major Richardson, którego też „wychowankowie“ na takiej psiej wystawie (niektóre okazy z niej reprodukujemy) zdobyły pierwsze odznaczenia.

Hojna ofiara dla nauki polskiej.

Wobec olbrzymich sum i dotacyj prywatnych, jakie na cele społeczne i naukowe składa corocznie społeczeństwo Królestwa — nasza ofiarność prywatna skromniej się przedstawia, dość rzadko stosunkowo notując ofiary lub zapis jednostek. Tłomaczy nas ustrój polityczny kraju, któremu własny sejm i autonomia pozwala systematycznie w corocznym budżecie uwzględniać instytucye naukowe i społeczne. Niemniej jednak i u nas poczucie obywatelskie i patryotyzm wielu osób przejawia się w poszczególnych aktach hojnych darowizn, jak np.



Kuchnia szkolna: Nauka gotowania w szkole im. Królowej Jadwigi w Sanoku.



Hojna ofiara dla nauki polskiej: Dom przy ulicy Hofmana L. 9. we Lwowie, ofiarowany Tow. popierania nauki polskiej. (Fot. M. Münz, Lwów).

ostatnio Towarzystwo popierania nauki polskiej z siedzibą we Lwowie otrzymało na swe cele dom we Lwowie przy ulicy Hofmana pod L. 9. Ofiarodawca, p. Władysław Gozdawa-Gozdawski, darował swą piękną kamienicę dwupiętrową, zapewniając sobie i żonie dożywotną rentę. Kamienica ta ma stanowić wieczysty fundusz imienia ofiarodawcy z zastrzeżeniem, iż nie może być pozbyta, a nadto ofiarodawca przekazał towarzystwu 10.000 K. na koszty ważniejszych adaptacyj. Hojna ta ofiara zazapewnia Towarzystwu pokaźny dochód roczny, który nadto stale wzrastać będzie.

Niebieski „miecz Damoklesa".

Jak nad ofiarami ucztującemi u niego grecki tyran Damokles zawieszał na cienkim włosku ciężki miecz, który co chwila groził im śmiercią — tak nad naszą ziemią w przestworzach niebieskich Stwórca czy przeznaczenie zawiesiły miecze, grożącą jej zagładą. Tymi niebieskiemi mieczami Damoklesa są komety. Wprawdzie zniknęła już, zwłaszcza wśród warstw oświeconych, przesadna przed niemi obawa, niemniej jednak są nawet poważni uczeni, którzy nie zaprzeczają możliwości zetknięcia się komety z ziemią, co naszemu globowi i jego mieszkańcom mogłoby nie wyjść na zdrowie. Niebezpieczeństwo to kometowe jest dla ziemi stale niemal aktualne, mniej lub więcej. Albowiem w system słoneczny ciągle wpadają komety — jedne peryodycznie, w terminach przewidzianych, drugie niespodzianie. Jedna z tych komet ukazała się na horyzoncie ziemskim w Anglii 5 marca. Z tej racyi podajemy tu wizerunek takiej komety, jednego z tych wspaniałych niebieskich wędrowców, z których „ręki" — jeżeli się tak wyrazić tu można obrazowo — ziemia śmierć może ponieść.

Cichy jubileusz artysty.

Teatr Rozmaitości w Warszawie obchodził w tych dniach rzadki jubileusz pięćdziesięcioletniej, nieprzerwanej na jednych deskach, pracy aktorskiej. Jubilatem jest Władysław Krogulski. Urodzony w roku 1843, pochodzi z rodziny, zapisanej zaszczytnie na kartach historyi muzyki polskiej, w której widnieje nazwisko ojca jego, Michała Krogulskiego, znanego kompozytora i brata jego, Józefa.

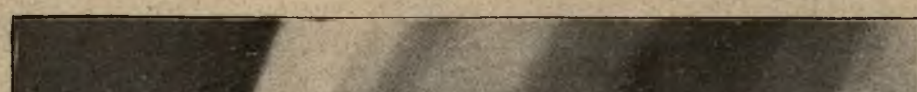
Muzyka była też pierwszem jego powołaniem. Po przejściu studyów muzycznych pod kierunkiem ojca i Elsnera, grał Krogulski przez lat 7 w orkiestrze teatru Wielkiego, w której batutę trzymał — Moniuszko. Jednakże muzykant przedzierzga się w aktora. Krogulski kończy szkołę dramatyczną Chęcińskiego, debiutuje z powodzeniem na scenie „Rozmaitości", wyjeżdża do Włoch, później do Paryża, gdzie w r. 1869 kończy konserwatoryum — a następnie wstępuje na stałe do teatru Rozmaitości. To zdobywa powodzenie swemi kreacyami, między innemi Łatki w „Dożywociu" Fredry. Ogó-



Hojna ofiara dla nauki polskiej: Władysław Gozdowa-Gozdawski, który ofiarował kamienicę Tow. popierania nauki polskiej we Lwowie.



Co kraj, to obyczaj: Rozrywki karnawałowe w Kanadzie.



Niebieski „miecz Damoklesa": Kometa zagrażająca ziemi.

łem wystąpił na scenie dotąd 7954 razy — liczba wprost rekordowa. Obok tego zaś prowadzi od dwóch już dziesiątków lat dział muzyki zakulisowej w tym teatrze i napisał setki ulotnych kompozycyj. Niektóre z nich, jak muzyka do „Kupca Weneckiego“, cieszyły się popularnością.

Krogólski jest nie tylko zawodowym aktorem — on żyje dla teatru. Pamiętnik, w którym zapisuje swoje wspomnienia, stanowić może kiedyś cenny wkład do historyi teatrów w Polsce. Zebrane przez niego kolekcye rzeczy teatralnych (sztychy, fotografie, afisze i t. p.) są bardzo zajmujące. Oprócz tego zaznaczyć można działalność Krogulskiego jako nauczyciela muzyki i kompozytora, jedynego może, który nie chce brać honoraryum od wydawców za swoje kompozycye.

W jubileuszu oddanego sztuce artysty wzięli serdeczny udział koledzy i ceniący jego talent znawcy.



Cichy jubileusz artysty: Władysław Krogulski, artysta dramatyczny teatru Rozmaitości w Warszawie.



Odyseja ks. Wieda: Ks Wied przyjmuje raport od komendanta „Taurusa“.

Odyseja ks. Wieda.

Książę Wied — Wilhelm I., król albański, ma wiele wspólnych cech z Odyseuszem. Obaj byli królami, obaj mieli żony, obaj podróżowali wiele i z tego tytułu zostali władcami — i jeżeli ks. Wied znajdzie swego historyografa, podobnego Homerowi, to przejdzie do potomności. Obecnie zajmuje on szpalty wszystkich pism oraz myśli zaprzysięgłych i domorosłych polityków. Książę Wied, ukończywszy cykl swych podróży towarzysko-politycznych po dworach europejskich, obecnie udał się w ostatnią podróż (ale nie w życiu, choć pesymiści i tego nawet nie wykluczają) i to już do swej — Itaki-Albanii — by zasiąść wreszcie na swym tronie w Durazzo. Jak tam będzie z tym tronem i wogóle państwem albańskiem — o to trzebaby zapytać się Epirotów i tajnego gabinetu greckiego ministra wojny, który tak „gorące“ przyjęcie nowemu władzcy w Epirze zainscenizował. W każdym razie „król“ Wilhelm jedzie na statku „Taurus“, którego podobiznę podajemy. Z Tryestu na „Taurusie“, austryackim krążowniku, w otoczeniu statków: francuskiego, włoskiego i angielskiego wyruszył już nowy król do swego państwa. Żegnały go salwy wiwatowe, oby tylko w Albanii nie powitały go salwy innego „charakteru“. Z ust wielu włoszek tryesteńskich wyry-



Odyseja ks. Wieda: Okręt „Taurus“, wiozący ks. Wieda do Albanii.



Sensacyjna afera szpiegowska: Oskarżeni w toczącym się we Lwowie procesie Bendasiuka i towarzyszów.

Bendasiuk. Hndyma Sandowicz. Kołdra.



Naukowa wycieczka młodych techników: Grupa słuchaczów Politechniki lwowskiej w Sierszy.

wały się przy pożegnaniu fregaty, odjeżdżającej z księciem Wiedem, smętne westnienia — „taki piękny i elegancki — szkoda go". Książe jednak nie okazywał po sobie bojaźni: z wdziękiem i dobrą miną wszedł na pokład „Taurusa" i dał znak do odjazdu. Od tej chwili zaczyna się nowy rozdział odyssei pt. „W Albanii"...

Nasza druga illustracya przedstawia scenę przyjęcia księcia Wieda na pokładzie „Taurusa" przez jego komendanta p. Potocnika.

Sensacyjna afera szpiegowska.

Przed lwowskim sądem przysięgłych rozpoczęła się w bieżącym tygodniu rozprawa przeciwko Szymonowi Bendasiukowi i towarzyszom, oskarżonym o zbrodnię zdrady stanu i szpiegostwa uprawianego w Austryi, na rzecz obcego mocarstwa. Rozprawa ta budzi wielkie zainteresowanie w prasie i kołach politycznych, a do prezydyum sądu zgłosili się, że przybędą, korespondenci pism rosyjskich i zagranicznych. Terenem działalności oskarżonych była Galicya, którą od jakiegoś czasu zalała wprost fala szpiegów, wyłapywanych ciągle przez tutejszą policyę.

Rozprawa potrwać ma sześć tygodni, po przesłuchaniu podsądnych, co zajmie, jak przypuszczają, tydzień cały, przesłuchany będzie cały szereg świadków i osób pośrednio w sprawę zamięszanych. Procesowi przewodniczy starszy radca sądu Roman Lewicki. Wszyscy oskarżeni pochodzą z Galicyi.



Praca oświatowa na wsi: Uczniowie i uczenice kursów zawodowych, zorganizowanych przez T. S. L. w Sierszy.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

15

Księżnę Sahadżę zaniepokoiła głucha krytyka angielskich dzienników. Książę jednak był z niej zadowolony. Wiadomości te dojdą do jego poddanych i przekonają się oni wówczas, iż pomimo całego lojalnego postępowania wobec Anglii, zachował wolność osobistych przekonań i czynów. Była to więc nadzwyczajna chwila dla księcia Kiwani, chwila pełnego zadowolenia i wspaniałej dumy. Uśmiechał się też dobrotliwie do całego zastępu reporterów, przychodzących prosić o interwiew z fakirami.

Obaj kapłani niechętnie jednak przyjmowali te odwiedziny. Prosili tylko pokornie, aby książę lub zastępca jego, Matjasi, przemawiali w ich imieniu. Powrócili do zwyczajnego, prostego trybu życia, pomimo czci i uwielbienia, jakiem ich otaczał cały dwór księcia. Książę ofiarował swoim gościom kilka pokojów wspaniałych w swoim pałacu, chcąc, by starzec po tak ciężkiem przejściu wypoczął dostatecznie, ale Kilat energicznie odrzucił tę ofiarę. Prosił, by się nimi więcej nie zajmowano i umieścił się wraz ze swoim towarzyszem na słomie w nędznej izdebce, dotykającej do garażu automobilów. Kilka ziarnek ryżu, resztki deseru i owocu starczyły im za pożywienie. Czegóż więcej potrzebowali do zachowania życia aż do chwili, w której Wielki Siwa zawezwać ich miał przed swoje oblicze? Hołdy Hindusów, spotykanych na ulicy, przyjmowali obojętnie. Czyż nie byli na tej ziemi przedstawicielami ich Boga? Książę Kiwani codziennie prawie wiódł po ważne, filozoficzne rozmowy ze starym fakirem, zmuszając do przedstawiania po raz setny może wrażeń, odebranych w ciągu długiego jego snu hypnotycznego.

Doktor Gewolski i księżna Sahadża obecnymi zawsze byli tych przy konferencyach. Gewolski zbierał notatki do wielkiej pracy naukowej księcia, mającej mu otworzyć podwoje Akademii Umiejętności.

Na punkcie świętych kapłanów książę miał wiele do zarzucenia swojej córce. Okazywała ona coprawda wiele zainteresowania fakirom, lecz z odcieniem lekkomyślnej ciekawości, pozbawionej szczerego uwielbienia i szacunku. Ale widywać ich chciała codziennie, zmuszała do przyjmowania najpiękniejszych owoców i czuwała, aby odświeżano każdego dnia słomę w ich izdebce. Widocznem jednak było, że czyniła to dla zabawy, nie czując w sobie gorącej wiary ojca.

Dwie tylko osoby w pałacu odnosiły się z instynktowną ostrożnością względem fakirów: Matjasi i księżna Sahadża. Matjasi przyjmował z głębokim szacunkiem wszelkie rozkazy i słowa swojego władcy, grając rolę tłumacza w rozmowach Gewolskiego i starego Kilata, lecz książę czuł, że był mu niechętny i nie dziwił się tem spostrzeżeniem. Matjasi zazdrosny był o kogokolwiek, który zbliżył się do księcia i mógł wpływ swój wywrzeć na nim.

Wielkie wrażenie na księciu uczyniło zimne zachowanie się małżonki. Nie ukrywała ona swojej niechęci, lecz nie umiała także jej wytłumaczyć. Jakieś niewyraźne przeczucie mówiło jej, że wejście do pałacu tych ludzi nie przyniesie ze sobą nic dobrego. Na szczęście Gewolski jest tutaj... Gewolski, który teraz należał do domowników księcia... Dzięki wspaniałomyślności jego mógł zadość uczynić wszelkim swoim zobowiązaniom, a sława jego, powiększona tem zuchwałem doświadczeniem, przysporzyła mu bogatej i wpływowej klienteli. Jednakże książę oświadczył mu stanowczo, że tylko we Francyi wolno mu jeszcze korzystać z czasu i wolności; gdy powróci z nim do Indyi, będzie musiał w zupełności oddać się sprawom krajowym i osobistym księcia.

— — — — — — — — — — — — —

Pośród tego, prawie ogólnego zadowolenia, nadeszła niespodziewanie z Anglii fatalna wiadomość.

Organ „Foreign Office" donosił, że na skutek dokonanego przez władze śledztwa stwierdzono, iż dwaj fakirzy, których książę gościł u siebie, byli identyczni z tymi, którzy na pokładzie parowca „Indie" przybyli z Kalkuty do Londynu, lecz wówczas konwojujący trumnę lakową z uśpionym towarzyszem, był starcem, wysokim i szczupłym, o długiej, białej brodzie. W relacyi dodano, że prawdopodobnie młody Hindus Kirtah należy do partyi rewolucyonistów, prowadzonej dotąd przez poszukiwanego przywódcę Santrala.

Przeczytawszy tę wiadomość, księżna Sahadża, znajdująca się w tej chwili w gabinecie małżonka, zadrżała, przejęta śmiertelną trwogą. Książę również był silnie wzburzony i zaniepokojony. Tylko na ustach sekretarza Matjasego, pomimo całego szacunku, jaki miał dla swojego pana, przewinął się ironiczny uśmiech.

— Jednakże — zawołał gwałtownie książę — byłeś w Londynie i badałeś ich! Ty pierwszy się z nimi widziałeś i nie zauważyłeś nic podejrzanego?!...

— Panie mój — odparł, pochylając się nisko Matjasi. — Widziałem w nich tylko prawdę i szlachetność! I wiara moja w nich nie została zniszczona tem podejrzeniem, choć ono jest wielkiej wagi! Odkąd tu przebywają, również nic zaniepokoić mnie nie mogło, kilkakrotnie podsządłem ich niespodzianie, gdy rozmawiali ze sobą, a nawet kilka nocy spędziłem na poddaszu izdebki przez nich zajmowanej, gdzie ciągle przebywają, a przedewszystkiem mówią! Jednakże wyznaję...

— Aha! Więc i ty pomimo wszystko podejrzywasz ich! Jakim sposobem podejrzenie zrodzić się w tobie mogło i dlaczego mi dotąd o niem nie mówiłeś?

— Panie mój! To było tak jeszcze niejasnę i niepewne! Powstało w jednej chwili! Znane ci jest przywiązanie moje i szczerość. Ale praca i wysiłki duszy bywają niekiedy tak tajemnicze i powolne w skutkach! Opowiem, jak się zaczęło. Początkowo odpędzałem wszelkie złe przypuszczenia, bo wszystko wydawało się tak wspaniałe i prawdziwe! Ale ten młody Kirtah! to człowiek nadzwyczajnej mocy i potęgi! W oczach jego pali się ogień niezwykły i wielki! Uważałem, że wszyscy Hindusi w naszym pałacu zbliżają się do niego ze czcią i lękiem. Dlaczego więc nie zdołał sam jeden zbudzić starego Kilata!? Dlaczego naraził się dobrowolnie na takie upokorzenie, wyznając otwarcie, że towarzysz jego zginąłby bez pomocy doktora Gewolskiego!

— Czy przypuszczasz Matjasi — zawołał książę — że to wszystko było tylko nędzną komedyą!?

— Panie mój! — odpowiedział pokornie Matjasi — inteligencya twoja wyższa od mojej i jaśniej tę sprawę ocenić potrafi... ja tylko mówiłem według rozumowań mojej duszy.

Przy ostatnich słowach twarz Matjasego przybrała dawny, spokojny wyraz.

Księżniczka Sahadża niecierpliwie podniosła głowę i rzekła stanowczym głosem, ważąc każde słowo:

— Możliwe jest, że nieufność nasza jest nieuzasadniona, że ten młody Hindus rzeczywiście zapadł w chwilową niemoc duszy. Wiadomem jest przecież, że dowolnie o każdej porze rozkazywać swoim władzom hypnotycznym nie można. Ludzie ci są prawdopodobnie przejęci tylko najlepszymi zamiarami, ale jednakże zaznaczyć trzeba, że posiadają oni w pałacu wolność nieograniczoną, że o każdej porze zbliżyć się do Waszej Wysokości mogą. I dlatego błagam cię, książę, w imieniu córki, poddanych swoich i mojem, bądź ostrożniejszym! Wiadomem ci jest, że pomiędzy fakirami znajdują się anarchiści i rewolucyoniści, którzy nienawidzą książąt indyjskich, zaprzyjaźnionych z Anglikami — na równi z samymi Anglikami!

— Pomówię z nimi dziś jeszcze — zadecydował poważnie książę.

— Ale pozwolisz, książę, że obecni będziemy przy tej rozmowie — zawołała zaniepokojona księżna.

— Zanadto wierzę w przywiązanie twoje, bym cię miał oddalić od siebie w tak ważnej okoliczności — odparł książę. — I jeżeli prawdą jest, w co wierzyć nie chcę jeszcze, że życiu mojemu grozi niebezpieczeństwo, dzieciństwem byłoby nie ochronić się przed niem! Poczyń należne przygotowania, Matjasi! A ty Sahadżo, czuwaj pilniej jeszcze, niż dotychczas. A przedewszystkiem strzeżcie mojej ukochanej księżniczki Kity! Tej nocy rozwiążemy zagadkę!

— — — — — — — — — — — — —

O północy, kiedy wszystko zdawało się być uśpionem w pałacu, Matjasi wślizgnął się ostrożnie do izdebki fakirów. Obaj spali, młody Kirtah na słomie, starzec Kilat na gołej podłodze... Obudził ich i oznajmił, że książę pragnie z nimi mówić i spisać pewne spostrzeżenia i uwagi, tyczące się rozpoczętej przez niego pracy naukowej.

Fakirzy nie byli tem zdziwieni.

Udali się posłusznie za Matjasim do gabinetu, gdzie oczekiwał ich już książę, ubrany tym razem nie po europejsku, lecz we wspaniały kostyum indyjski. Na głowie miał turban podpięty olbrzymim dyamentem. Przy nim siedziała księżna Sahadża, również w stroju indyjskim. Księżna utkwiła we wchodzących przenikliwe spojrzenie, a tak wielka była siła wzroku i napięcie nerwowe całej jej istoty — iż odczuli fakirzy jej niezwykłe gorączkowe podniecenie.

Długą chwilę przerzucał książę leżące przed nim zapisane ćwiartki papieru, w końcu podniósł głowę i odezwał się spokojnie.

— Kazałem wam tu przyjść, moi kochani, żeby wam zadać kilka pytań — szczególniej tobie, Kirtahu. Interesuje mnie bowiem bardzo ten nagły stan niemocy, w którą zapadłeś w chwili, w którejbyś się był powinien zdobyć na najwyższą moc i potęgę. Zmusiłeś nas poniekąd do posłużenia się pomocą uczonego Europejczyka. Im więcej się nad tym faktem zastanawiam, tem więcej mnie on zadziwia — zważywszy twoje zapewnienie, że nigdy dotąd nie spotkał cię w tym kierunku zawód. — A jeżeli prawdziwe są również raporta przezemnie dziś odebrane z Anglii, to ty nie jesteś fakirem — lecz tym wstrętnym burzycielem Santralem, wzywającym naród do mordu i pożogi!

Kirtah w milczeniu zwrócił na starego Kilata pytające spojrzenie.

Zauważył ten ruch książę i zawołał donośnym głosem:

— To ja cię zapytuję! rozumiesz!

Ale już stary Kilat odpowiedział potakującem skinieniem głowy. W mgnieniu oka przeobraziła się postać młodego Hindusa, a głos jego drżał wyniosłą ironią, gdy zaczął mówić do księcia:

— Niepotrzebnie niecierpliwisz się, książę, bo oto towarzysz mój upoważnił mnie do mówienia. Czyż aż tak pragniesz wiedzieć, czy należałem do uczniów Santrala? Sądzę rzeczywiście, że byłem jeżeli nie najlepszym, to najwierniejszym jego uczniem... Bo — zawołał ze wspaniałym wybuchem buntu i dumy — Santral, to ja!

Zdumienie pełne przestrachu księcia trwało zaledwie chwilę. Rękę wyciągnął do dzwonka umieszczonego na stole. Nieznaczny ruch Santrala zatrzymał go.

— Nie waż się książę wołać straży uzbrojonej, którą trzymasz ukrytą w pobliżu... Nie potrzebujesz, na razie przynajmniej obawiać się mej osoby, a zyskać możesz wiele, jeżeli się rozmówimy szczerze i otwarcie.

— Czego się mogę spodziewać od ciebie, nędzniku, jeżeli mnie tak podle oszukałeś i użyłeś wszelkich wybiegów, żeby dostać się aż do mnie?

— O książę — rzekł stary fakir przejmującym głosem — jeżeli wielcy tego świata są nieświadomi prawdy, to jedynie dlatego, że jej dostępu do siebie nie dają. Przebyliśmy tysiące mil, naraziliśmy się na śmierć lub gorsze może od śmierci dożywotnie więzienie... jedynie w tej nadziei, że chwil parę ogładać cię będziemy. A ty już pragniesz uwolnić się od nas! Nie masz się jednak czego obawiać, usłuchaj mądrej rady starca, dla którego śmierć byłaby wyzwoleniem i oddal straż swoją, gdyż lepiej naprawdę się stanie, jeżeli podsłuchiwać za drzwiami nie będzie. Podziękujesz mi za radę, gdy się dowiesz, co ci mamy powiedzieć. Zresztą — dodał stary fakir, wymownym ruchem ręki wskazując na siebie i towarzysza,—czyż my nie jesteśmy rozbrojeni zupełnie?

Księżna niemą prośbą powstrzymać chciała męża od zbytniej wspaniałomyślności, lecz książę, objąwszy długiem badawczem sdojrzeniem obydwóch fakirów, porozumiał się wzrokiem z Matjasim, który natychmiast drzwi otworzył i wydał stosowne rozkazy.

Po chwili można było rozróżnić szmer oddalających się kroków i prawie nieuchwytny brzęk broni...

— Dobrze — rzekł stary fakir — teraz jesteśmy sami... jakkolwiek nie miło nam będzie mówić w obecności tej cudzołożniczki... Lecz dałeś jej tyle dowodów zaufania, czyniąc ją twą małżonką — względnie towarzyszą cenioną przedewszystkiem w Europie... My zaś przeczuwamy u niej tyle ku nam niechęci, że właśnie dlatego mówić przy niej będziemy. W każdym razie on mówić będzie — rzekł wskazując na Santrala. — Gdy małżonka twoja wysłucha Santrala, będzie dla nas przychylniejszą i uzna naszą mądrość. A teraz mów, Santralu.

Rysy Santrala wyrażały przez chwilę dziką zawziętość, lecz opanował się wkrótce i zaczął mówić spokojnie:

— Przedewszystkiem należy ci się, książę, wytłómaczyć, jakim sposobem znajdujemy się tutaj.

— Odgadłem to już.

Kirtah odparł z lekką ironią:

— Skoro oskarżyłeś nas tak dokładnie o oszustwo, trzeba, żebyś z równą dokładnością znał szczegóły prawdy w razie, gdybyś chciał przedstawić ją przed światem naukowym.

— Mów prędko!

— Byłem wydalony z granic państwa za to, że pragnąłem w moim kraju tego, co Anglicy uważają w swoim kraju za rzecz naturalną: wolności i niezależności.

— Nie broni się swej sprawy zapomocą zbrodni i gwałtu względem niewinnych.

— Nie sądzę, aby Anglicy dla zapewnienia swej potęgi w naszym kraju wahali się przed zbrodnią i pozbawianiem życia tysiąca istot. Wypowiedziałem im wojnę, tak, jak oni nam ją wypowiedzieli.

— Powinnością moją byłoby wydać was sprawiedliwości, jako bezwzględnych zbrodniarzy.

— Nie popełnia zbrodni ten, kto morduje w celach politycznych!

— Niema kraju szanującego bardziej przestępców politycznych, niż Anglia. I gdybyś tu we Francyi, gdzie tak cenią wolność, dotknął choć jednego naszego włosa, ludność cała powstałaby przeciw tobie. W domu bowiem nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo, gdyż we Francyi podlegamy prawom należącym się Francuzom. Gdybyś nas chciał zgładzić, byłbyś odpowiedzialny za to przed władzą, jak pospolity obywatel francuski. W kraju naszym możesz być potężnym władcą, a ja w Indyach pokornym psem wobec ciebie. Tutaj jednak jesteśmy sobie równi... Jakkolwiek uchodzisz za księcia postępowego, nie radzę ci myśleć inaczej, niż ja myślę.

Stary fakir uznał teraz za stosowne przemówić.

— Trzeba, żebyś wiedział, o wielki książę, że nie nazywam się Kilat, ale Falik! Falik, pustelnik z Zend Avesty, którego niesłusznie lud nasz uważa za mędrca, a który jest tylko pokornym psem. Ale najpokorniejszy pies ugryźć może, a ukąszenie jego może być śmiertelne, jeżeli pan jego niesprawiedliwie go uderzy!

— Ja! — rzekł spokojnie Sandral, którego przenikliwy wzrok zdawał się sięgać aż do duszy księcia— ja osądziłem cię na śmierć. Zawdzięczasz życie Falikowi! Na wielkiej radzie naszej w Zend Avesta pod wpływem jego słów, odstąpiłem od tej myśli, na razie.

— A dlaczego to skazałeś mnie na śmierć? — zapytał książe.

— Bo jesteś przyjacielem Anglików... bo pomiędzy nami i wolnością i niezależnością naszą, wy zawsze stawać będziecie! wy! Książęta! którzy powinniście być podporą naszą naturalną, a nie dbacie o nędzę naszą i ból! bo jedynem waszem pragnieniem jest egoistyczne używanie bogactw i radości życia!

— Szalony... — szepnął książę wzruszając ramionami. — Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, do jakiego stopnia oddany jestem mojemu krajowi, moim poddanym, których uważam wszystkich za dzieci rodzone! Szalony! który chcesz przez gwałt i mord, rozwiązać problem najtrudniejszy do rozwiązania dla całej ludzkości! Szalony! który sądzisz, że książę indyjski może nie kochać ponad wszystko swojego kraju! A więc marzyłeś sobie, stworzyć przykład przez śmierć moją?

— Tak — odpowiedział bez namysłu Santral — i bez niego — dodał wskazując Falika — byłoby to już zrobione! A stałoby się to znakiem ogólnego powstania!

— Szalony! albo znakiem ostatecznego uciemiężenia, ktore opóźniłoby o kilka wieków godzinę wyzwolenia, ktorej doczekamy się — rzekł książe, prawie szeptem — ale dojdziemy do niej inną drogą... dyplomacyą... ostrożnością i powolnym może, ale potężnym ruchem umysłów!... Ale zapominam, że mam przed sobą zbrodniarza i buntownika — zawołał nagle książę, prostując się dumnie.

Stary Falik podszedł do księcia i zaczął mówić głosem cichym i głębokim, wywierającym na nim silne wrażenie.

— Masz się za postępowego monarchę! o władco nasz! Przybywasz szukać przykładów w Europie... byłeś nawet w Stanach Zjednoczonych!... I czy to prezydentowie stoją na czele władzy, czy też królowie, potomkowie świętych i starożytnych rodzin, zawsze narodowi wolno objawiać wolę swoją! Czy może to w czem szkodzić ogólnemu porządkowi świata!?

— Niema we mnie tej zarozumiałości, o książę! Jestem tylko starcem, który dużo czytał, dużo rozmyślał. Niestety, nieznane mi są obce języki i przez całe życie moje całą wiedzę i mądrość swoją czerpałem z ksiąg świętych Vedas! Ale oto powstała rzecz nowa, która wzburzyć i poruszyć może wszystkie stare narody na równi z najmłodszymi, powstałymi w Europie i Ameryce! Tą rzeczą jest zwykły kawałek papieru, gdzie wydrukowane zostaje wszystko, co się mówi, co się robi na całej ziemi! W samotnej pustelni mojej od lat dziesięciu świadomy byłem wszystkiego przez te dzienniki poszukiwane i niszczone przez Anglików i które przez to samo stawały się jeszcze drogocenniejsze, bardziej przekonywujące! I pomimo lat moich umysł mój uległ wpływowi postępu i zdaje mi się, że go nawet lepiej pojąłem, niż Santral, skoro poddawałem mu środki, przez ciebie także wybrane: zręczność, cierpliwość, łagodność, a względem ciebie, o książę, wyrozumiałość! Przyznasz, że od chwili, w której zamieszkujemy twój pałac, z łatwością moglibyśmy już pozbawić cię życia, gdybyśmy uważali czyn ten za potrzebny. Ale ja, w samotności mojej, odgadłem, że nie jesteś tym samolubnym władcą, za jakiego Santral i uczniowie jego cię mieli. Oni cię wybrali, aby cię zniszczyć, ja zaś cię wybrałem, by uczynić z ciebie pierwszego naszego księcia, który szczerze pragnie zrzucić z siebie angielskie ciemięztwo. I zamiast ci grozić śmiercią, mówię ci: Bądź z nami, poprzyj sprawę naszą twojem doświadczeniem, a błogosławić cię będziemy! A będziesz sławny, jako najsławniejszy z naszych władców! Aby ci to módz powiedzieć, w spokoju i wolności podjęliśmy te wszystkie doświadczenia i próby! Czy jeszcze nami pogardzać będziesz?

— A więc przychodzicie mi proponować handel! — rzekł zimnym głosem książę. — I zdawało się wam, że ulegnę waszym groźbom!... Ja, książę z Kiwani. I że oczekuję na wasze rady, by wiedzieć jak kierować moim ludem i polityką! I zdaje się wam, że przez tę idyotyczną groźbę śmierci, którą zawieszacie nad głową moją, uczynicie sobie ze mnie niewolnika koronowanego, zmuszonego podlegać się rozkazom waszych tajnych stowarzyszeń!... Przekonam was, że się was nie lękam. Jeżeli, pod pewnym względem, można was uważać za przestępców w Indyach, to tu, grożąc mi śmiercią, w moim własnym pałacu, stajecie się zwykłymi zbrodniarzami. Mam dwóch świadków tej rozmowy, i wystarczyłoby donieść policyi, że znajdujecie się we Francyi, aby was ujęto i zamknięto w więzieniu, którego się więcej lękacie, niż śmierci!... Bo tutaj znajdujemy się tylko pod prawem ogólnem tego państwa, i jeżeli, tak jak widzę, nie obce wam są objawy cywilizacyi europejskiej, słowa te powinniście zrozumieć w całem ich znaczeniu...

Przemówienie księcia, pewne siebie i sprawiedliwe, przeraziło młodego fakira. Ale stary Falik pozostał nieporuszony.

— Nie usłyszałeś jeszcze wszystkiego, o książę! — rzekł po chwili milczenia.

— Słucham! — odparł dumnie książę.

— Ale tego, co ci powiem, nikt inny, prócz ciebie tylko, słyszeć nie może!

— O, mój przyjacielu, zastanów się! — zaoponowała błagalnie księżna.

Ale książe wzruszył tylko ramionami.

— To znaczy, że chcesz sam na sam pozostać ze mną, Faliku?

— Wolałbym tak, zapewne! Ale, że jak sądzę pan Matjasi wtajemniczony jest we wszystkie sprawy twoje, mój książe, niech więc pozostanie! Wybaczę wam brak ufności. Widzisz, że od tej rozmowy wyłączam również mojego towarzysza. Czynię to jedynie dla dobra księcia i pragnę mówić z nim jedynie w obecności Matjasego. Na Siwę, Brahmę i Wisznu, przysięgam, że gdybyśmy nawet tylko we dwóch pozostali, to książe tylko słów moich lękać się może, ale nie osoby!... Ale chcę was uspokoić jeszcze! Ty Santralu! wyjdź i oddaj się w ręce przybocznej straży księcia. Pozostań lojalnie ich więźniem, aż pan nasz wyda rozkaz uwolnienia cię. Co do mnie! — mówiąc to starzec usiadł w głęboki fotel. — Co do mnie, niechaj pójdą przyniześć więzy, i niechaj Matjasi skrępuje mnie najzręczniej jak umie!... Moją jedyną bronią, pozostanie to, co ci mam wyjawić, mój książę!

Pogardliwym ruchem chciał książe odrzucić propozycye Falika.

— Słowo twoje mi wystarcza, nie potrzeba więzów!

— Nie odparł Falik — bo uczujesz może do mnie gniew tak wielki, że zapragnąłbyś mojej śmierci, a tak uszanujesz moje życie, bo będę wobec ciebie bezbronny. Zresztą ja tylko w ten sposób mówić do ciebie będę.

— Czy myślisz, że będziesz na tyle zręcznym, że się uwolnisz?

— Przysięgam na bogów naszych, że czekać będę oswobodzenia z twojej ręki!

— — — — — — — — — — — —

— Mów, psie!

Książę z dumnym wyrazem twarzy stał z Matjasim naprzeciw skrępowanego fakira.

— Pozwoliłem, aby Matjasi obecnym był rozmowie, jednakże...

— Czynisz już zastrzeżenia!

— Przysięgam, że dla twojego dobra. Chcę wiedzieć, czy Matjasi poinformowany jest dokładnie o wszystkiem, co nastąpiło w Paryżu, w chwili urodzenia się księżniczki Kity!

Fakir dobrze przewidywał: zaledwie wymówił ostatnie słowa, gdy książę podskoczył do niego, mierząc go wzrokiem.

— O czem ośmielasz się mówić?

— Czy lękasz się prawdy?

— Znasz ją więc?

— Nie odpowiedziałeś mi przecież, czy Matjasi wie, jak to przypuszczam, o tem, co udało ci się zataić przed ludem twoim. Ale to, co łatwe dawniej było do ukrycia, dziś również łatwo odkrytem być może!

— Mów! Mów prędko! A jeżeli obmyśliłeś jakie kłamstwo, to strzeż się!

— Czyli po spokojnym głosie moim nie odczuwasz szczerości słów moich? Czy pewnym jesteś, odpowiedz mi, że ty jesteś ojcem ukochanej twojej córki? Czy chciałbyś, aby wszyscy Hindusi, a przedewszystkiem poddani twojego kraju, wiedzieli, że podczas, gdy ty podróżowałeś do Europy i Ameryki, księżna, małżonka twoja, pozostawała u nas, narażona na wszelkie napaści, na wszelkie przypadki?...

— Dosyć słów! Mów, co wiesz! W co wierzysz, że jest prawdą!

— Nie można wątpić o tem, co się widziało na własne oczy! A ja widziałem człowieka, który ci ją ukradł, książę... bo ukradł ją... tę twoją uwielbioną księżniczkę!...

Ciąg dalszy nastąpi.



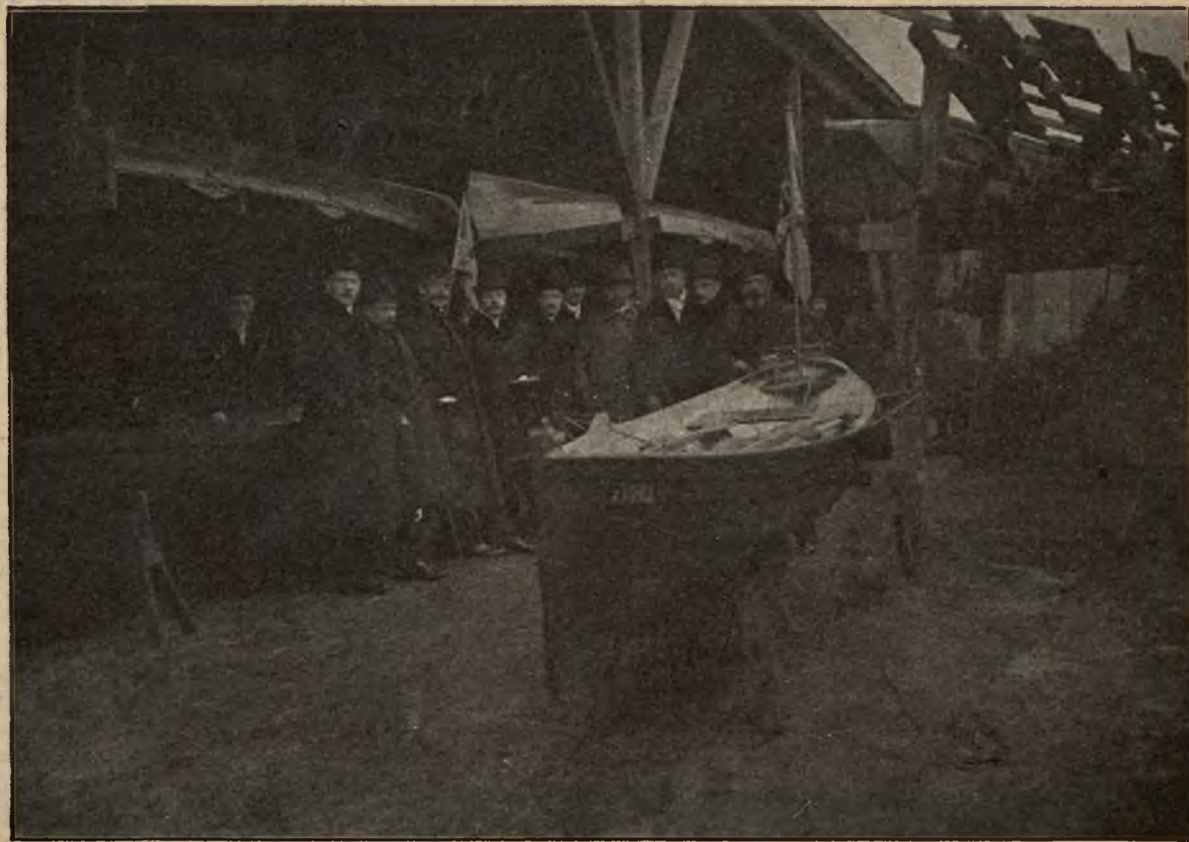
Oczekiwał ich już książę, ubrany tym razem nie po europejsku.

Wioślarze warszawscy przemysłowcami.

Towarzystwo wioślarzy, jeden z najpopularniejszych i najsympatyczniejszych klubów Warszawy nie chcąc bogacić obcych fabrykantów, założyło sobie własną fabrykę łodzi rasowych, dotychczas w kraju nie wyrabianych. Warsztaty towarzystwa funkcyonują niedawno, a mogą pochlubić się już pokaźnymi rezultatami, budując najnowsze typy łodzi, lepszych od sprowadzanych dotąd z Niemiec. Zasługa to energicznego naczelnika przystani p. W. Bormana, który właśnie w tych dniach oprowadzał po fabryce grono zaproszonych gości z prasy i kół sportowych.

W roku bieżącym warsztaty towarzystwa wykonały pięć łodzi nowych, a są na ukończeniu dwie łodzie półrasowe mahoniowe. Towarzystwo ma w niedalekiej przyszłości otrzymać od magistratu miasta Warszawy plac na budowę nowych warsztatów, które mają powstać kosztem 10.000 rubli.

Illustracye nasze przedstawiają naczelnika, p. W. Bormana i warsztaty Towarzystwa.



Wioślarze warszawscy przemysłowcami: Warsztaty Warszawskiego Towarzystwa wioślarskiego.

Demonstracye „afrykańskie“ w Londynie.

Kłopoty z Afryką południową dla Anglików nie skończyły się wraz z podbiciem republik boerskich. Pod względem politycznym kwestya została przez nich rozwiązana przez nadanie podbitym krajom samorządu. Jednakże rychło okazało się, że kraj Przylądkowy wraz z Transwaalem, Oranią i Natalem domagają się uporządkowania także pod względem ekonomiczno-społecznym.

Podbój krain boerskich został dokonany w imię kapitalizmu angielskiego, którego nęciły tam przedewszystkiem wielkie kopalnie złota. Do pracy w tych kopalniach, a także w innych gałęziach przemysłu oraz komunikacyi zostały ściągnięte do południowej Afryki setki tysięcy robotników ze wszystkich krajów, przedewszystkiem oczywiście z Anglii. Robotnicy ci, po zainstalowaniu się tam, zapoznaniu z stosunkami i zorganizowaniu (samych kolejarzy jest w związku zawodowym około 20.000) zaczęli się domagać szeregu praw, polepszenia warunków pracy, no i podwyższenia płac. Kapitaliści nie zadość uczynili żądaniom robotników, a po stronie kapitalistów opowiedział się i rząd, który na strajki rolnicze odpowiedział krwawemi represyami.

Zaczęło się to już w czerwcu 1913 roku, kiedy to rozstrzelano przeszło 400 strajkujących, wskutek czego ustał zupełnie ruch kolejowy, wstrzymany przez robotników na znak protestu. Zamęt ten nie uspokajał się przez kilka miesięcy i przeistoczył się ku końcowi roku ubiegłego w formalną rewolucyę. W głównych miastach kraju Przylądkowego i Natalu ogłoszono stan oblężenia, ustał ruch kolejowy i wszelka wogóle praca, zaczęło brakować środków żywności. Rząd południowo-afrykański sprowadził kilkanaście tysięcy wojska z Anglii i krwawo stłumił zamieszki. Zakończyło „rewolucyę“ zupełnie wzięcie do niewoli z oblężonego domu wszystkich przywódców ruchu wraz z ich uzbrojoną gwardyą w liczbie 300.

Przywódców tych obecnie na okrętach wojennych przywieziono do Londynu. Tu jednak ujęli się za nimi zorganizowani robotnicy całej Angli. Zaraz przy wylądowaniu odbyły się wielkie demonstracye, potem inne, na których przemawiali już afrykańscy więźniowie, wreszcie w przeszłą niedzielę w Hydeparku zgromadzenie tak olbrzymie, jakiego Londyn od lat kilkudziesięciu nie widział. Zebrało się kilkaset tysięcy ludzi, związki ze sztandarami, muzyką, z ustawionych trybun przemawiało kilkudziesięciu mówców. Przyjęto rezolucye, ostro potępiające zachowanie się południowo-afrykańskiego rządu i wzywającą rząd angielski, aby naprawił błędy swego młodszego kolegi z kraju złota i krwi.



Wioślarze warszawscy przemysłowcami: Kierownik warsztatów i naczelnik Warszawskiego Tow. Wioślarzy p. W. Borman.



Demonstracye „afrykańskie“ w Londynie: Demonstranci ciągną pochodem do Hyde-parku.

W sprawie naszej Wielkiej Szarady.

Na ogólne żądanie P. T. Prenumeratorów, szczególniej zza granicy, przedłużamy termin nadsyłania rozwiązań **Wielkiej Szarady konkursowej do dnia 21 marca b. r.**

Listę ubiegających się o nagrody umieścimy w numerze 13 z dnia 28 marca.

Kronika tygodniowa.

Iznowu, dzięki ostatniej kronice, nawarzyłem sobie bigosu, który trudno będzie zjeść ze względu na wielki post i lekki katar żołądkowy, jakiego się nabawiłem w tym czasie, gdy moja połowica, zajęta rozwiązywaniem problemów społecznych i walką w obronie uciśnionej płci pięknej, pieczę nad kuchnią oddała najstarszej córce, studyującej filozofię ścisłą i kucharce Kasi, mającej o sztuce kulinarnej takie pojęcie, jak niejeden c. k. konserwator o sztuce.

Każdy się domyśli, że rozchodzi się tu o owe japońskie ideały.

Tym razem atakują mnie przedstawiciele płci brzydkiej, którzy po prostu zasypali mnie listami, grożącymi zemstą.

Jednem słowem, książę Wied nie jechał z takim strachem do Albanii, z jakim ja pędzę żywot w spokojnym Krakowie, nad którego bezpieczeństwem czuwa c. k. policya cywilna i wojskowa.

Z pomiędzy owych listów pozwolę sobie przytoczyć trzy, najbardziej charakterystyczne.

Oto pierwszy z nich:

„Panie! Niech Pana jasny szlag trafi i to zaraz, skoro śmiesz głosić takie zasady! Gdym przeczytał ostatnią Twą kronikę i owe japońskie życzenia, żałowałem, że nie mam Cię pod ręką... Zniszczyłem zaraz numer, przez co zepsułem sobie komplet, wolę to jednak, niż gdyby miał szerzyć w domu zgorszenie, skoroby się dostał w ręce mojej żony!

Powiadasz tam, że mężczyzna powinien na wszystkie pytania kobiet dokładnie odpowiadać i posiadać jakiś ideał!... Ładniebym wyglądał, gdybym w swem życiu chciał oba te punkty zastosować, gdyż, trzeba Ci wiedzieć, posiadam ideał, ale poza domem, o czem, rzecz prosta, żoną moja nic nie wie.

Jest to pewna artystka, którą od czasu do czasu odwiedzam, ilekroć natomiast pyta mnie żona, skąd wracam, mówię: „Z klubu!"

Gdybym, idąc za twą radą, prawdę powiedział, rozbiłaby mi łeb, lub, co najmniej, wydrapała oczy!

Albo, czy to nie głupie gadanie, że mężczyzna powinien być zdecydowany! Spróbuj, jeśli masz tak energiczną żonę, jak ja!

Jeśli nie przestaniesz głosić podobnych przewrotowych zasad, zapewniam Cię, iż przestanę czytać Twe kroniki, dzięki którym babom może się tylko we łbie przewrócić!...

Jeden z wielu".

Drugi list jest już zredagowany w tonie nieco spokojniejszym:

„Panie Kronikarzu! Z ostatniej kroniki Twej, którą przestudyowałem od deski do deski, wywnioskowałem, jestem bowiem psychologiem, umiejącym czytać nawet i między wierszami, że to, co piszesz o znajomości kobiet, to wierutna blaga! Zaczynam nawet wątpić, czy wogóle jesteś żonaty, choć się tak chwalisz...

Owa Japonka utrzymuje, a Ty powtarzasz za nią, że mężczyzna nie powinien być skąpy... Po części zgadzam się na to. Na dom musi się przecież dawać pieniądze, gdyż jest to obowiązkiem ojca rodziny, trudno jednak uwzględnić wszystkie grymasy połowicy i sypać pieniądzmi na wszystkie strony, nawet tam, gdzie nie potrzeba. Ja nazwę to oszczędnością, żona moja, której tak samo, jak owej Japonce, przewróciło się w głowie, powiada, że to obrzydliwe skąpstwo!

Ósmy punkt głosi, że mężczyzna powinien zostawić rozporządzenie pieniędzmi w obrębie rodziny żonie. Na to się już absolutnie nie zgadzam, gdybym bowiem tak chciał postępować, koło połowy miesiąca nie jadłbym obiadu, a dzieci chodziłyby bez butów!

Nasze panie z pieniądzmi obchodzić się nie umieją i nigdy się tego nie nauczą, trzymając się zasady, że jeśli są pieniądze to na to, aby je wydać. Gdy braknie, suszą głowę mężowi, by się starał o monetę, skoro jest panem domu. „Weź, skąd chcesz, a daj, bo ja potrzebuję"...

Japonkom może się to podobać, ja zakładam swe veto. Jeśli mi nie wierzysz, zrób doświadczenie, a przekonasz się, że mam racyę. Żadna kobieta, choćby najbardziej wykształcona, nie miała nigdy, nie ma i mieć nie będzie pojęcia o ekonomii...

W interesie ogółu proszę Cię byś w najbliższym numerze odwołał to, co napisałeś.

Ekonomista".

Trzecie pismo jest najbardziej smutne, autor jego staje na innej, niż tamci, platformie i występuje w obronie swego żołądka, który, jak wiadomo, w życiu małżeńskiem gra niepoślednią rolę.

Treść jego jest następująca:

„Drogi Panie! Że mężczyzna nie powinien się pokazywać w kuchni (§. 9.) — to racya, tego samego zdania jest i moja żona, która, by mnie od tego odzwyczaić, przyjmuje zawsze stare i brzydkie kucharki.

Nie podoba mi się natomiast §. 11., który brzmi „mężczyzna nie powinien zbytnio nudzić kobiety w sprawach, dotyczących jedzenia".

Hola! Zadaleko Pan idziesz!... To ja dlatego pracuję, jak wół, bym nie miał prawa powiedzieć, że to lubię, a tego nie?... A któż ma zwrócić uwagę, że to, lub owo, jest niedogotowane, przypalone, jeśli nie ja, jako pan domu? Spróbujno, mój drogi Panie, godzić się na wszystko, co Ci podadzą, a przekonasz się, że Cię strują! Żona i kucharka uknują na Cię spisek, z którego wyjdziesz z katarem żołądka w najlepszym wypadku...

Możesz sobie więc pisać, co Ci się podoba, ja sobie w kwestyi, tak ważnej, jak jedzenie, nie pozwolę odebrać głosu decydującego, a tak, jak ja, powinien postąpić każdy małżonek, który chce być szczęśliwym w życiu...

Moja żona już mnie zna pod tym względem i przyznaje mi racyę! Gdybyś pan wiedział, jaką ona robi baraninkę z czosnkiem!... Palce lizać!... A komu to zawdzięcza?... Mnie, bo ja powiadam, że dobra kuchnia, to grunt! Przez żołądek może sobie każda kobieta zapewnić serce męża...

Zaproszę Cię kiedyś do siebie na obiadek, przekonasz się, jakie u mnie pod tym względem panują idealne stosunki i sam wówczas powiesz, że ta twoja Japonka jest głupia!

Praktyczny mąż".

W obronie słuszności, czego mi nikt chyba nie zabroni, odpowiadam Szanownym Interpelantom, iż przyznaję im najzupełniejszą racyę, tak pod względem moralnym, jak ekonomicznym i żołądkowym, zastrzegłem się bowiem najwyraźniej, że owe japońskie ideały nie są mym wymysłem, jedynie powtórzeniem z bardzo poważnego pisma politycznego.

Także nikt nie może mi zarzucić, bym wezwaniem do młodzieży, mającej pretensye do tych ideałów, nakłaniał ją w wieku popisowym do emigracyi za Ocean.

Sprawę tę uważam więc za załatwioną, na drugi raz obiecuję poprawę.

Zbierając materyał do niniejszej kroniki, natrafiłem w jednem z pism codziennych na wzmiankę o śmiesznej biurokracyi Francuzów, która wprawić musi w wesoły nastrój nawet w wielkim poście.

Zdarzyło się, że w pociągu pospiesznym, zdążającym z Bordeaux do Paryża, znaleziono zwłoki jakiegoś nieznanego mężczyzny. Urzędnicy kolejowi, badając jego tożsamość, przeszukali kieszenie trupa i znaleźli w portfelu, o zgrozo, bilet jazdy trzecią klasą, gdy tymczasem nieboszczyk ulokował się w klasie drugiej!

Aby więc stało się zadość przepisom, z pieniędzy, jakie miał przy sobie, ściągnięto różnicę ceny jazdy, za przebytą drogę i karę, a potem dopiero odstawiono śmiertelne szczątki do kostnicy.

Pismo owo, które tą notatkę zamieściło, pokpiwa sobie z biurokracyi francuskiej, zapomina jednak, iż żadne chyba z państw nie jest tak umiłowaną jej ojczyzną, jak właśnie nasza kochana mama Austrya, odznaczająca się szczególniejszem nabożeństwem do świętego Biurokracego.

Na ten temat krążą różne, mniej lub więcej prawdopodobne opowiadania, nieraz bardzo humorystyczne, jedno z nich pozwolę sobie tutaj powtórzyć.

W czasie powodzi wydelegowało jedno z c. k. starostw urzędnika, by objechał zagrożone okolice. Ponieważ, jak wiadomo, budownictwo lądowe i wodne po powiatach stoi na bardzo wysokim stopniu rozwoju, nic też dziwnego, że, gdy pan komisarz przejeżdżał przez most na wezbranej rzece, most się zawalił, woźnica zdołał uratować siebie i konia, rozhukane fale uniosły zaś c. k. urzędową osobę, której zwłoki znaleziono dopiero po kilku dniach i to o kilkanaście kilometrów w dół rzeki.

To wszystko jest rzeczą zwyczajną i nad tem możnaby przejść do porządku dziennego, ciekawszym przecież jest dalszy ciąg.

W biurze starostwa, sprawdzając ostatni rachunek kosztów podróży ś. p. zmarłego, natrafiono na wątpliwość, której nie tylko sam pan starosta, ale nawet c. k. sekretarz nie mógł rozstrzygnąć!

Chodziło o to, czy ś. p. komisarzowi należą się dyety i kilometrowe od chwili załamania się mostu, nie ulegało przecież kwestyi, że drogę ową, aczkolwiek już nie żył, odbył w charakterze urzędowym.

Skończyło się na tem, że należną mu kwotę asygnowano, ponieważ zaś nie mógł jej już pobrać, złożono ją do depozytu sądowego, gdzie zapewne dotąd spoczywa, gdyż, jak się dowiedziałem, ś. p. zmarły nie pozostawił spadkobierców.

Być może, że jest to tylko wymysł fantazyi jakiegoś wesołka, ja w miesiącu lutym natrafiłem w tak poważnym organie, jak „Gazeta Lwowska", na inny piękny wykwit c. k. biurokracyi, a nie mógłbym spać spokojnie, gdybym go nie podał do wiadomości ogółu.

Proszę jednak czytać uważnie i uwzględnić daty, a pamiętać, że ogłoszenie pojawiło się w roku 1914 w jednym z numerów lutowych.

„L. cz. T. IV. 12/13 (2).

Wdrożenie postępowania celem uznania za zmarłego.

Zaprzysiężonemi zeznaniami świadków Michała Dubeca i Matwija Kapelucha z Polan stwierdzonem zostało, że Franciszek, recte Zachar Dutka, urodzony w Bereście, powiatu Grybowskiego, w dniu 17 września 1864, przed około dwudziestu pięciu laty w Szamoling w Stanach Zjednoczonych, wyskoczywszy z pociągu, ciężko się potłukł i w pięć dni z doznanych obrażeń umarł.

Gdy zatem przyjąć należy, że zachodzi ustawowe domniemanie z § 24 ust. cyw., przeto wdraża się na prośbę Tryfona Dutki ze Słotwin postępowanie celem uznania Zachara za zmarłego.

Wydaje się przeto ogólne wezwanie, aby udzielono Sądowi lub kuratorowi, panu Hetperowi, c. k. notaryuszowi w Muszynie, wiadomości o powyż wymienionym, Zachara Dutkę zaś wzywa się, aby przed niżej wymienionym Sądem stawił się, lub w inny sposób uwiadomił o swem życiu.

Sąd tutejszy za ponowną prośbę po dniu 1-go września 1913 rozstrzygnie o uznaniu go za zmarłego.

C. k. Sąd obwodowy, Oddział IV.

Nowy Sącz, dnia 10 maja 1913".

Każdego, kto czyta uważnie powyższe ogłoszenie, musi przedewszystkiem uderzyć nadzwyczajny pospiech, z jakim ekspedyowano je z Nowego Sącza do Lwowa. Na to trzeba było okrągło dziesięć miesięcy.

Pozatem czytamy tam, że zeznaniami zaprzysiężonych świadków stwierdzono, że biedny Zachar umarł w Ameryce, a tu tymczasem c. k. Sąd wzywa go, aby się stawił w Nowym Sączu lub w inny sposób uwiadomił o swem życiu.

Stylizacya niektórych ogłoszeń urzędowych jest tego rodzaju, iż stanowić mogłyby ozdobę niejednego pisma humorystycznego.

Ale biurokracyi zadość stać się musi, poczciwy *szimmel* urzędowy nie traci u nas nigdy swego znaczenia.

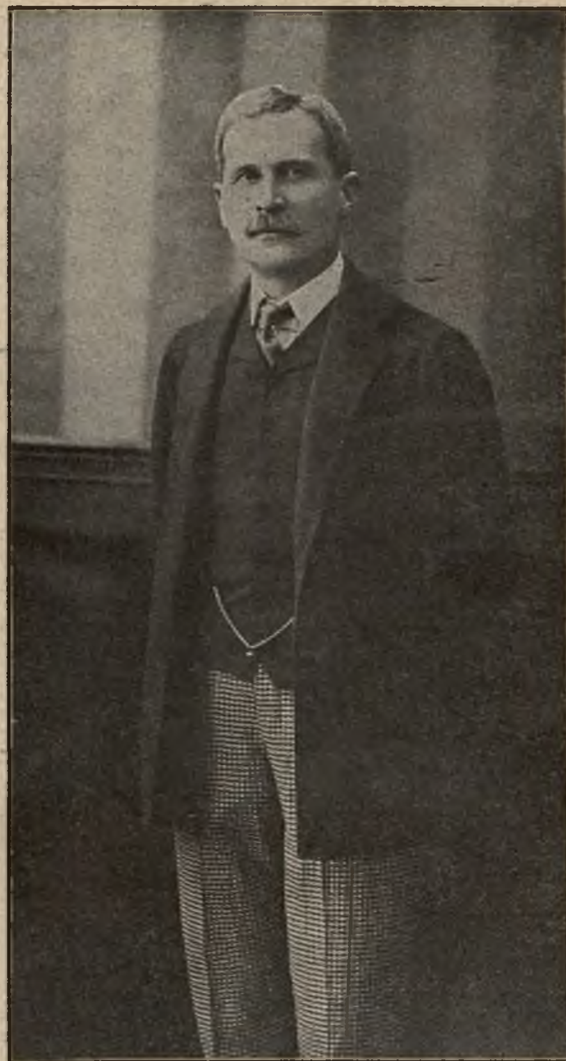
Mordercy ś. p. Świszczowskiego przed sądem.

(Do illustracyi tytułowej).

Zwierzęcy mord, dokonany dn. 30 września r. z. na osobie ś. p. Ferdynanda Świszczowskiego, dyrektora krakowskiej filii księgarni Gebethnera i Sp., znalazł w tych dniach swój epilog przed tutejszym trybunałem przysięgłych. Zbrodnia ta, spełniona



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Prokurator dr. Lang.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Obrońca Swierczyńskiego, dr. Szalay.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Obrońca Kobrzyńskiego, dr. Seinfeld.

z taką bezczelnością i zezwierzęceniem, poruszyła całe miasto, zatrwożone śmiałością morderców i początkowym brakiem po nich śladu. Gdy się zważy okoliczności zbrodni, t. j. dokonanie jej w najruchliwszej części miasta — Rynku pod l. 24 i porę, godz. 8 wieczór — ówczesny popłoch Krakowian staje się wytłomaczony, bo zbrodniarze, uszedłszy bezkarnie, mogli się ważyć na czyn jeszcze okropniejszy. Do wzruszeń miasta przyłączał się żal i współczucie dla nieszczęśliwej ofiary ś. p. Swiszczowskiego, osobistości powszechnie znanej i lubianej, którą zbrodniarze ohydnie zamordowali dla rabunku, chociaż siłą i liczbą, aż czterech, przewyższali napadniętego. Morderstwa dokonali więc przez swą bezwzględność, tem bardziej zastanawiającą, że wszyscy z wyjątkiem herszta są ludźmi młodymi, a jednak już tak moralnie upadłymi zbrodniarzami. Dla przypomnienia naszym czytelnikom szczegółów opisanych już przez nas obszernie, podajemy pokrótce ustalony już w akcie oskarżenia przebieg ohydnej zbrodni. Zbrodniarzy siedzących obecnie na ławie oskarżonych jest sześciu: Jan Łyżwiński lat 20 monter z Krakowa, Stanisław Gackiewicz lat 28 murarz, również z Krakowa, Jan Kobrzyński lat 28 blacharz, a ostatnio bandyta „zawodowy“ rodem z Woli pod Warszawą, Bolesław Krajewski lat 29 murarz z Królestwa, pośredni uczestnik Jan Swierczyński lat 23 rysownik techniczny z Krakowa i inicyator zbrodni Jan Godula lat 22 pomocnik księgarski z Tarnowa. Napad rabunkowy planowali zbrodniarze od r. 1912, całość obmyślili Łyżwiński, oraz Kobrzyński i Krajewski, otrzaskani z podobnemi „operacyami“, szczegółów zaś lokalnych i informacyj o księgarni dostarczył wyrzucony z niej za kradzież Godula. Bandyci schodzili się co jakiś czas w podrzędnych kawiarniach i restauracyach, a nadto szpiegowali ś. p. Swiszczowskiego, celem sposobnego napadnięcia go, gdy sam bywał w biurze kasowem księgarni. Początkowo bandyci oznaczyli datę napadu na dn. 17 lub 18 września i uzbroiwszy się w pistolet, browning i drążek żelazny tzw. szaber i knebel, zrobiony z dwóch skarpetek, polowali na swą ofiarę. Spłoszyli ich jednak wówczas mieszkańcy domu, w którym znajduje się księgarnia Wobec tego odłożyli napad na dzień 30 września i wówczas go też wykonali. Idąc za ś. p. Swiszczowskim, który ze składu księgarni przy ul. Krowoderskiej udał się do biura, po zamknięciu sklepu w Rynku rzucili się nań w chwili, gdy otworzył tylne drzwi i chciał je zamknąć od wewnątrz. Kobrzyński uderzył od razu ś. p. Swiszczowskiego żelaznym drągiem w tył głowy, a następnie inni rzucili się na ofiarę, dusząc ją kneblem, sznurkiem i drutami koło szyi. Łyżwiński i Gackiewicz, wyrwawszy konającemu z dłoni klucze, dostali się do kasy zabierając z niej zawartość. Po rabunku zbrodniarze rozbiegli się, nie widziani przez nikogo. Śledztwo policyjne, mimo całego wytężenia naszych zdolnych komisarzy i agentów, nie mogło odrazu trafić na ślady. A raczej zupełnie dobrze skierowane wymykało się z powodu braku dowodów. Dopiero przypadek dopomógł policyi, a mianowicie zgłosił się do niej p. Adam Paszkowski z Tarnowa, który przy-



Mordercy ś. p. Świszczowskiego przed sądem:
Ś. p. Ferdynand Świszczowski.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Obrońca Łyżwińskiego, dr. Drobner.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Obrońca Krajewskiego, dr. Bader.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem:
Obrońca Goduli, dr. Krzaklewski.

padkowo usłyszał raz obradujących nad napadem bandytów. To posłużyło policyi do wyłapania wszystkich zbrodniarzy, którzy w śledztwie z całym stoicyzmem przyznali się do winy. Obecna rozprawa budzi wielkie zainteresowanie w mieście. Galerye sali sądowej zatłoczone są publicznością, choć osoby zbrodniarzy nic ciekawego nie przedstawiają. Są to przeciętne, zwyrodniałe osobniki, z których każdy już miał konflikt z władzami policyjno sądowymi. Broniąc się, składają winę jeden na drugiego i spokojnie opowiadają szczegóły mordu, jakby o najzwyklejszą chodziło sprawę. W zwierzęcych ich sercach nie drgnie żadne uczucie ludzkie — zdają się nie rozumieć ohydy czynu — *moral insanity*. Rozprawie przewodniczy radca sądu Markiewicz, jako wotanci zasiadają pp. Krause i Pattak, oskarża prokurator dr. Lang, oskarżonych bronią adwokaci: dr. Drobner (Łyżwińskiego), dr. Słotwiński (Gackiewicza), dr. Seinfeld (Kobrzyńskiego), dr. Bader (Krajewskiego), dr. Szalay (Swierczyńskiego), dr. Krzaklewski (Goduli).



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem: Jan Kobrzyński.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem: Jan Łyżwiński.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem: Jan Godula.



Mordercy ś. p. Świszczowskiego przed sądem: Stanisław Gackiewicz.

Poseł — konfidentem policyi.

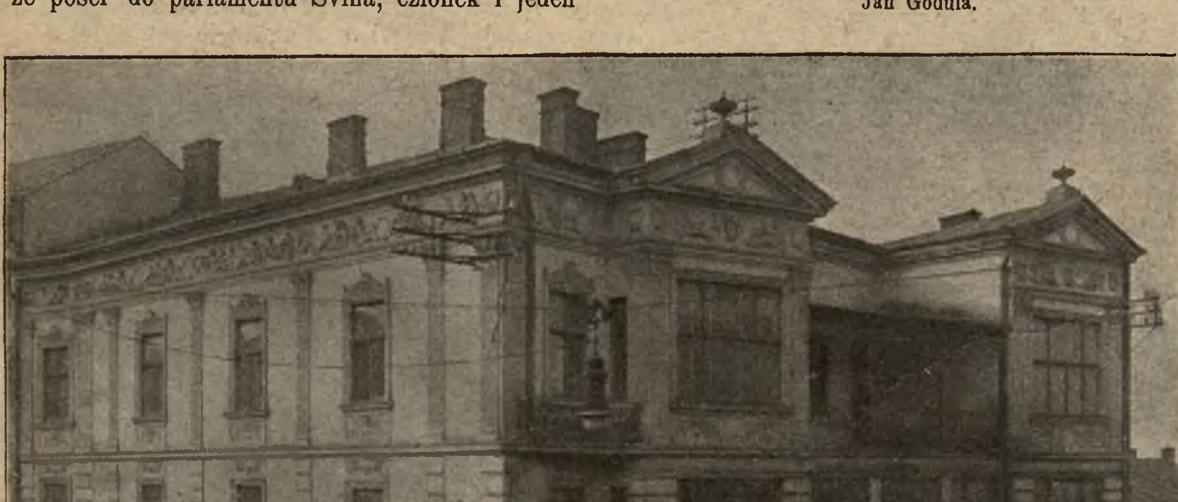
Niemało huku robi w Czechach, a także i w całej Austryi, od paru już tygodni skandaliczna afera posła Svihy. Krótko mówiąc, polega ona na wykryciu, że poseł do parlamentu Sviha, członek i jeden z przywódców partyi narodowo-socyalnej, był od lat, delikatnie mówiąc, płatnym konfidentem policyi.

Działając jako taki popełnił on wiele czynów, zgoła nie zaszczytnych. Zdradzał przed policyą plany i zamiary swej partyi, podróże polityków czeskich, spowodował uwięzienie kilku ludzi, za co pobierał około 10.000 K rocznie. Oprócz tego wprowadzał demoralizacyę do własnego stronnictwa, pośrednicząc w uzyskiwaniu na jej wydawnictwa pieniędzy z funduszu gadzinowego, wzamian za prowadzenie przez nią polityki w myśl rządu.

Zdemaskowanie tego denuncyanta- posła skompromitowało jego partyę, i odkryło bagno korupcyi wśród polityków czeskich.

Sviha sam z początku zapierał się, ale dowody były zbyt przekonywujące. Młodoczeski dziennik „Narodni Listy“, który dla pognębienia przeciwników swych radykalnych (do których Sviha należał) ujawnił tę aferę, opublikował dokumenty nie wątpliwe. Nawet partyjny organ Svihy przestał go bronić. Nad Svihą odbył się rodzaj sądu obywatelskiego, którego wyrok był dla niego druzgocący. Wobec tego dawni koledzy klubowi Svihy oświadczyli, że on mandat poselski składa, a sam Sviha — wyjechał w niewiadomym kierunku. Przypuszczają, że pojechał do Ameryki, skazany przez sąd obywatelski — jak przed laty również zdemaskowany jako szpieg policyjny, publicysta i literat czeski Sabina — na wygnanie z kraju.

Nadmienić należy, że Sviha był nietylko posłem,



Echa zamachu w Debreczynie: Hotel „Imperial“ w Czerniowcach, w którym sprawcy zamachu swój plan przygotowali.



Mordercy ś. p. Swiszczowskiego przed sądem: Bolesław Krajewski.

ale i sędzią w m. Senftenberg. Liczy obecnie lat 37. Przypuszczamy, że emerytury z racyi piastowania tego urzędu — o co przed wyjazdem przezornie wniósł podanie — jednak nie otrzyma.



Poseł — konfidentem policyi: Karol Sviha.

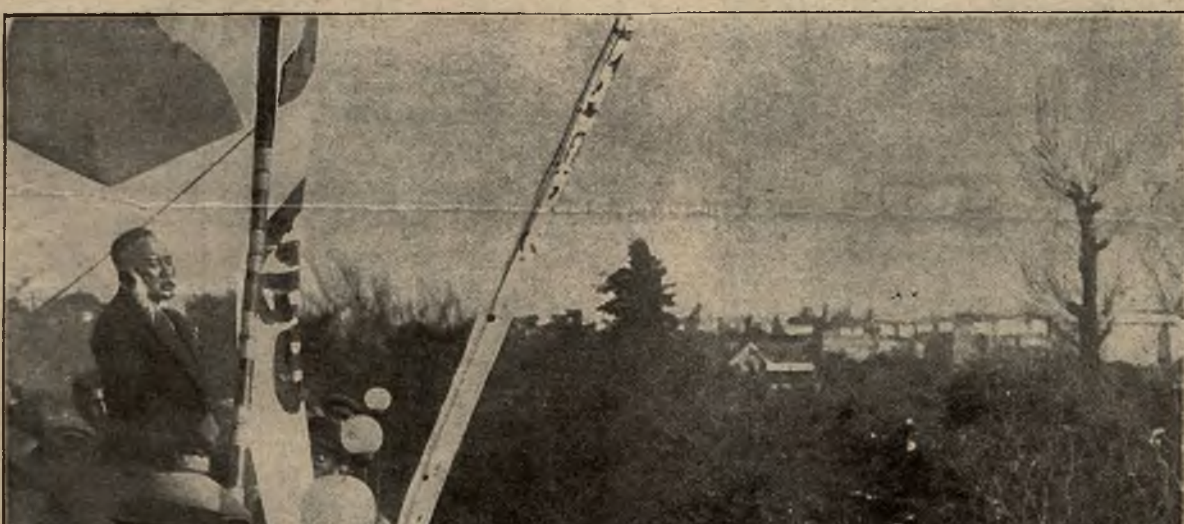
Zamieszki w państwie Mikada.

W kraju „wschodzącego słońca“ i „kwitnącej wiśni“ wybuchły zaburzenia o charakterze zupełnie „europejskim“. W ostatnich czasach Japończycy z taką samą furyą, z jaką szturmowali Port Artura, rzucili się w wir europeizacyi swego kraju. Wkrótce posiedli wszystko, co ma Europa: parlament, posłów, wybory, gabinet odpowiedzialny przed „przedstawicielstwem ludu“. No i... przekonali się, że — nie wszystko złoto, co się świeci.

Parlament nie zażegnał nędzy, wybuchłej wskutek przesilenia ekonomicznego po wojnie, rząd robi to co chce, jak i dawniej, a w dodatku okazało się, że wielu polityków, posłów i wyższych wojskowych to pospolici złodzieje, kradnący pieniądze ludowe i biorący łapówki od Niemców za zapewnianie im dostaw wojskowych. Więc też, znowu z furyą, poddani Mikada zwrócili się przeciwko rządowi i politykom. Od kilku już tygodni odbywają się w większych miastach Japonii masowe i gwałtowne demonstracye, a największa odbyła się w stolicy, w Tokio, w Hibiga-parku. Mówcy opozycyjni nie szczędzili tam rządu w swych przemówieniach, z drugiej strony policya żółtolica działała energicznie, aby odeprzeć napór demostrantów w kierunku niepożądanym. Illustracye nasze przedstawiają sceny z tej demonstracyi.



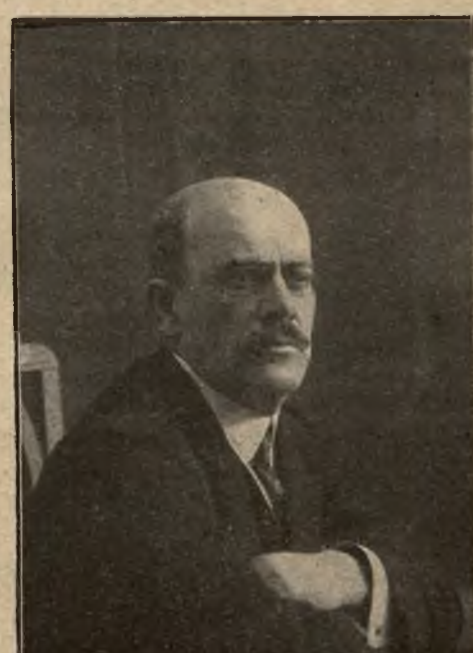
Zamieszki w państwie Mikada: Policya odpiera demonstrantów.



Zamieszki w państwie Mikada: Mówca opozycyjny przemawia do tłumu.

Nowe prezydyum lwowskiej Izby lekarskiej.

Izba lekarska dla wschodniej Galicyi wybrała na swem walnem posiedzeniu, odbytem z końcem zeszłego miesiąca, prezydentem dr. Jana Papee'go, wiceprezydentem zaś dr. Władysława Kohlbergera. Nowo obrany prezes Izby urodził się w roku 1868, a po ukończeniu szkół i Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie poświęcił się specyalnym badaniom chorób skórnych. Jako sekundaryusz szpitala powszechnego we Lwowie i Poliklinice tamtejszej dr. Papee znany jest szerokim kołom pacyentów ze sfer ubogich, którym zawsze z bezinteresowną spieszy pomocą. Prace naukowe ze swej specyalności drukuje dr. Papee często w „Tygodniku lekarskim“ i „Przeglądzie lekarskim“, w Izbie zaś lwowskiej pracuje od lat 15 jako sekretarz, a ostatnio jako wiceprezes.



Nowe prezydyum lwowskiej Izby lekarskiej: Dr. Jan Papee.

Młodzi szermierze Warszawy.

Ćwiczenia szermierskie w Warszawie, po kilkoletniej przerwie w r. b. wznowione, gromadzą może



Młodzi szermierze warszawscy: Kółko szermiercze Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego z kierownikami E. Neblem (X) i T. Zabielskim (XX).

niezbyt jeszcze liczne, ale wytrwałe zato, grono zwolenników tej sztuki rycerskiej. Cwiczenia te, prowadzone pod kierunkiem energicznego nauczyciela p. E. Nebla i pomocy miłośnika szermierki p. T. Zabielskiego, rokują rozwój i dobre wyniki koła, tembardziej, że powołana przez komitet komisya czuwa, aby lekcye szły normalnie, a nadto utrzymuje zbiór przyborów szermierskich.

W dniu 28 b. m. „zastęp wzorowy" wystąpi w czasie jubileuszowego popisu gimnastycznego, w końcu zaś sezonu zimowego I-szy ten kurs zakończony zostanie turniejem.

Co kraj, to obyczaj...

(Do illustracyi na str. 8).

Karnawał wprawdzie już dawno się skończył, ale właśnie w okresie postnych rozmyślań warto uprzytomnić sobie szaleństwa, które zwykle popełniamy w karnawale. Nie mamy tu bynajmniej na myśli... małżeństw, zawieranych w tym czasie, ale różne zabawy karnawałowe, które illustrowaliśmy w poprzednich numerach, zamieściwszy między innemi ciekawe zdjęcia z zapust w Nicei. Zarówno bale, jak i te pochody najrozmaitszych figur i masek, są niewątpliwie ładne, ale bardzo kosztowne. To też warto zaznaczyć, że są kraje, które potrafią się bawić o wiele taniej, a niemniej oryginalnie. Illustracya nasza przedstawia właśnie zapusty w Kanadzie. Dzielni kanadyjczycy na pożegnanie karnawału składają ofiarę ze swych... kości, podrzucając się wzajemnie na kilka metrów w górę. Choć jest to rozrywka dość ryzykowna, lecz w gruncie rzeczy o wiele zdrowsza, niż całonocne tany... Wątpliwą jest jednak rzeczą, czy kiedykolwiek znajdzie u nas zastosowanie, bo „co kraj, to obyczaj"...

Naukowa wycieczka młodych techników.

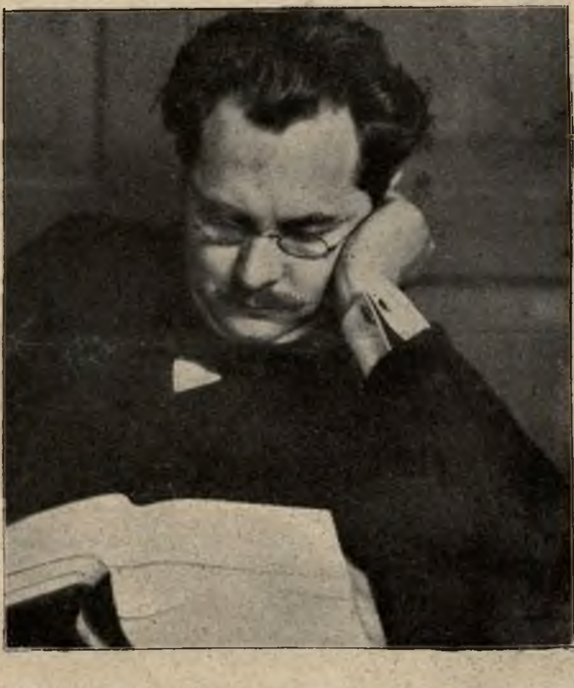
(Do illustracyi na str. 10).

W tych dniach bawiła w kopalniach i fabryce cementu w Sierszy zbiorowa wycieczka słuchaczy wydziału mechanicznego politechniki lwowskiej. Go ście zwiedzali dokładnie urządzenie kopalni węgla oraz fabryki cementu, gdzie oprowadzani przez tamteiszego inżyniera zapoznali się z najnowszemi wynalazkami oraz sposobami produkcyi, w tych zakładach zastosowanymi.

Nasza ilustracya przedstawia grono wycieczkowców z profesorem politechniki Chrzanowskim oraz dyrektorem zakładów górniczych w Sierszy p. Schiwitzkiem i inżynierem Cieślińskim w pośrodku.

Odczyt na Zjednoczenie Stow. kobiecych we Lwowie.

Od roku istnieje we Lwowie Zjednoczenie polskich towarzystw kobiecych, w którego skład wchodzą delegatki stowarzyszeń kobiecych Lwowa, Krakowa i miast prowincyonalnych. Zadaniem tej insty-



Odczyt na Zjednoczenie Stow. kobiecych we Lwowie: Prelegent prof. dr. Z. Weyberg.

tucyi jest jedność tych rozmaitych towarzystw i akcya wspólna w celu ekonomicznego podniesienia kraju. Wśród wielu planów ważnych czynności jest w toku sprawa założenie taniej konfekcyi damskiej dla sfer niezamożnych.

Ażeby powiększyć szczupłe swe fundusze na tak rozległe i pożyteczne cele, urządza w dniu 15 b. m. odczyt p. t. „Warszawski romantyk i wileński klasyk", który wygłosi dr. Zygmunt Weyberg, od niedawna profesor chemii na uniwersytecie lwowskim. Dr. Weyberg dał się poznać szerszym kołom publiczności jako zajmujący prelegent popularny. Pierwszy jego odczyt we Lwowie, wygłoszony roku zeszłego w Związku naukowo literackim „O spólności pierwiastków twórczych w sztuce i nauce", odbił się szerokiem echem w prasie. Wygłoszone potem dwa cykle odczytów w Wykładach powszechnych uniwersytetu lwowskiego p. t. „Zycie skał" i „Symetrya" pociągnęły liczne rzesze słuchaczy. To też i odczyt zapowiedziany na niedzielę wzbudza powszechne zainteresowanie wśród inteligencyi lwowskiej.

Ruch oświatowy na wsi.

(Do illustracyi na str. 10).

Ruchliwa czytelnia ludowa Towarzystwa Szkoły Ludowej w Sierszy zorganizowała ostatnio niedzielne odczyty i pogadanki dla dorosłych rolników i robotników, oraz kursy zawodowe dla młodzieży. Kursy, na które zgłosiło się przeszło 100 uczestników i uczestniczek, mają na celu wykształcić ich praktycznie w wyrobie sztucznych kwiatów, sukiennych pantofli i guziczków nicianych, nauką zaś kieruje komitet filii Ligi popierania przemysłu. Dobry ten przykład szerzenia pożytecznej wiedzy na wsiach naszych oby znalazł jak najliczniejsze naśladownictwo.

Illustracya nasza przedstawia grono uczniów i uczenic kursu z inicyatorem i prezesem Koła panem Franciszkiem Olasem w pośrodku.

Brylantowe gody.

Niezwykłą uroczystość jubileuszową 60-cio letniej rocznicy swego małżeństwa obchodzili w tych dniach państwo Janostwo Bocheńscy w Wróżeniach (koło Krakowa).

Poważni jubilaci po przystąpieniu do spowiedzi i komunii św. wysłuchali Mszy św., odprawionej w ich domu za zezwoleniem księcia biskupa krakowskiego Adama Sapiehy, który raczył udzielić im swego arcypasterskiego błogosławieństwa, odczytanego przez celebransa, krewnego jubilatów, księdza Jana Sternberg-Stojałowskiego, proboszcza z Jaworej.

W podniosłych słowach przemówił ks. Stojałowski do jubilatów na temat niezwykłej uroczystości, podnosząc życząc im, by mogli nadal być wzorem dla młodszej generacyi.

Licznie zebrana najbliższa rodzina jubilatów i życzliwe sąsiedztwo z p. Teresą hr. Wodzicką na czele, duchowieństwo, miejscowi włościanie i służba dworska wzięli udział w tej tak rzadkiej uroczystości.



Brylantowe gody: Państwo Janostwo Bocheńscy w gronie uczestników uroczystości.

Głosy publiczne.

Teatr świetlny „Uciecha“ w obecnym programie przynosi wspaniały obraz z wielkiej seryi autorskiej firmy Pathé Fréres. Obraz ten nosi tytuł „Kobieta Demon“, a osnuty jest na słynnym romansie „La Clu“ Jana Richepina, członka francuskiej Akademii. Autor porusza temat, opracowany także przez Wedekinda, w słynnym także w Krakowie dramacie „Demon ziemi“, który w teatrze krakowskim miał tak wielkie powodzenie. W głównej roli kobiety — demona występuje artystka pani Mistinguett, w innych rolach Henry Kraus z „Komedyi francuskiej“ i Capellani. Do tej seryi obrazów, co Kobieta-Demon należą znane już filmy jak „Nędznicy“, „Dziecko Paryża“, „Walka o życie“ i t. d. W obrazie obecnym przesuwają się widoki Paryża, nadmorskie okolice Bretanii, widoki morza i t. d. Nadto w program wchodzą obrazek humorystyczny „Maleńka Bebi, bawi się w kominiarza“, komedyjka „Leon na bezdrożu“, farsa „Polidorowi brak wykształcenia“, najnowszy przegląd tygodniowy i t. d.

Pielgrzymka do Ziemi świętej od dnia 22-go czerwca do 15-go lipca 1914. — W dniu 22-go czerwca 1914 r. wyruszy z Krakowa pielgrzymka do Ziemi świętej i zwiedzi następujące miejsca święte: Haife, Nazaret, Górę Karmel, Jerozolimę i okolice Betleem i świętego Jana w górach.

Podróż cała tak koleją jak okrętem tam i z powrotem wynosi z całem utrzymaniem:

Dla klasy	I.	540 Koron,	466 Marek,	216 Rubli
„ „	II.	490 „	423 „	196 „
„ „	III.	360 „	310 „	144 „

Zgłaszać się należy najdalej do 20 kwietnia b. r. u podpisanego.

O. Zygmunt Janicki, kom. Ziemi św.
W Krakowie, ul. Reformacka 4.

Z półek księgarskich.

Pod tytułem **„Zycie polskie“** zaczął wychodzić z pod tłoczni Drukarni Narodowej w Krakowie, pod kierunkiem artystycznym prof. Antoniego Procajłowicza i pod redakcyą Stanisława Dzikowskiego nowy miesięcznik illustrowany, poświęcony literaturze, nauce i sztuce oraz sprawom społecznym. Wydany w tych dniach, jako okazowy, numer pierwszy w większej części poświęcony symbolowi dostojeństwa polskiego — Wawelowi — składa się przedewszystkiem z szeregu prac wybitnych pisarzy naszych o tej najczcigodniejszej pamiątce przeszłości, drogiej każdemu sercu polskiemu.

Wogóle całość pierwszego numeru Życia Polskiego, tak pod względem treści, jak też i szaty zewnętrznej przedstawia się wspaniale i śmiało iść może w zawody z podobnemi wydawnictwami francuskiemi, niemieckiemi i angielskiemi. Nazwiska zaś kierowników i wydawców dają rękojmię, że pismo to spełniać będzie należycie swe zadanie, jako illustracya życia polskiego we wszystkich jego przejawach.

„Głos obrońców“ wychodzący pod redakcyą dra Zygmunta Mandla zawiera w ostatnim numerze szereg artykułów, omawiających stosunki przy wymiarze sprawiedliwości i wytyka cały szereg braków sądownictwa naszego, wynikających głównie ze skąpstwa rządu na rzecz wymiaru sprawiedliwości w Galicyi.

W numerze tym omówiona jest między innemi sprawa budowy pałacu sprawiedliwości w Krakowie, a wyczerpujące przedstawienie tej kwestyi wykazuje, że koniecznem jest dla urzeczywistnienia tak aktualnej sprawy wywarcie silnego wpływu na Kolo Polskie, oraz rząd centralny.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 9.

Przekładanka:

J a b ł e c z n i **k**
U w o d z i c i e **l**
N o r w e g o w i **e**
O s t r z y c h o **m**
S t r a p i e n i **e**
Z d r o w o s t a **n**
A r c h i m e d e **s**

Łamigłówka: Jan Pasek.

Polityczna szarada: Albania.

Przysłowiówka: Bacz na treść, a słów nie braknie

Równanie:

Kajuta + Arno + wieszadło = **Junosza.**
Podniebienie + kawony + dęby = **Pod wodę.**

Łamigłówka:

Rawa.
Egon
Dora
Ural.
Tuła.
Agat.
Para.
Ryga
Amen.
Sowa.
York.

Zadanie do przestawienia: Słowo się rzekło, kobyłka u płotu

Logogryf:

P
R a k
G a w e ł
W a l e r y a
K u l a k
U p a
i
T a k
M a s z t
K o l e b k a
W a c e k
S k i
i

Szarada: Sarmatka.

Przeplatanka:

T W R
T e h e r a n
h n d
W e n e c y a
r c m
R a d y m n o
n a o

Łamigłówka: Amur — rumak.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Rozwadów, E. Niestenberger Lwów, J. Wilczkiewicz Lwów, J. Krawecki Przemyśl, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, F. Gebhardt Kraków, K. Galiński Sambor, J. Cisowski Warszawa, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, A. Dużak Kraków, F. Blatterfeind Lwów. W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Czyżewska Warszawa, F. Knopf Jarosław, A. Balicki Stanisławów, H. Wysoczański Petersburg, K. Misińska Złoczów, J. Sliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, S. Rogaliński Warszawa, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, J. Antosz Kołomyja, J. Jahoda Cieszyn, A. Gralewski Kraków, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, J. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, H. Scholz Rozdół.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Swirski, Piotrków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

K. Schönherr.

Ostatni obiad.

Dni powoli stawały się znowu dłuższe, a promienie słońca stawały się z każdym dniem bardziej palące. Rudy Jorg siedział nad wieczorem przy obiedzie... w celi sądu okręgowego...

Ta mizerna, a jednak pełna ponurego znaczenia nora kilka godzin temu była widownią dziwnej sceny. Kilku panów w czarnych kostyumach przyszło tutaj, i wypowiedziało głośno i uroczyście, że sprawiedliwości powinno się stać zadość.

— A więc, jutro! Punktualnie o siódmej godzinie rano trzeba się zbierać... wszystko jedno, czy będzie pogoda czy deszcz!

Jorg powinien być gotów.

Naostatku Jorg zażądał smażonego karpia i porcyę smażonych kartofli z dużą ilością cebuli, ponieważ był to właśnie piątek. Potem miał on zamiar poprosić o kilka raków. Dlaczegoby jedna i druga para niższych skorupiaków nie miała pożegnać się z życiem przedtem, zanim przyjdzie kolej na niego, wysoko rozwiniętego i złożenie zorganizowanego Jorga!

Mój Boże! Właściwie, nie taką już znowu straszną zbrodnię on popełnił. Rzeczywiście, był on żonaty z tą babą; potem przyszła mu ochota pozbyć się jej, ponieważ druga podobała mu się więcej. W mieście w takich wypadkach umieją znaleźć inne wyjście, ale na wsi „fundamenty moralne“ są mocniejsze: tu małżeństwa — dobre czy złe — rozrywa tylko śmierć. I oto, w takich okolicznościach, Jorg w prostocie ducha, nieco „pomógł“ losowi. I to wszystko.

Bogu tylko wiadomo, jakim sposobem sąd przyszedł do przekonania, że „najlepszy kurs leczenia“ dla Jorga, to „pozbawienie powietrza“.

Obrońca nic temu nie winien, bezwarunkowo. Ten, jak to mówią, bronił sprawy Jorga zupełnie jak swojej własnej. Z najbardziej ukrytych i tajemnych zakątków duszy wydobył on uniewinniające momenty psychologiczne i stworzył z nich wstrząsający zaiste obraz okropnej walki duchowej, przeżytej przez oskarżonego przed popełnieniem zbrodni.

Jorg siedział z początku ponury i przygnębiony, ale w miarę tego jak rozwijała się mowa obrońcy, ze zdumieniem podnosił głowę coraz wyżej i wyżej, i, w końcu, obrzucił całą salę wzrokiem dumnym, pełnym niewymownej pogardy. Kto ze wszystkich tu obecnych mógłby się pochlubić tak bogatem i złożonem życiem duchowem?

Lecz gdy tylko obrońca zakończył, natychmiast z za sąsiedniego stolika podniosł się znowu ten obrzydliwiec. Już wcześniej zwrócił on na siebie uwagę Jorga i w najnieprzyjemniejszy sposób dotknął go swoim dyabelskimi uśmieszkami i pokręcaniem głową. Jorgowi już wtedy wydało się dziwnem, że przewodniczący nie śpieszy usunąć z sali tego jawnego podżegacza i naruszyciela spokoju publicznego. Teraz on jeszcze raz wziął się do oskarżonego, tylko na kwadrans, jak powiedział, i nie przeszło jeszcze dziesięciu minut, jak na całym Jorgu nie zostało jednej suchej nitki. Wtedy głowa jego poczęła się opuszczać coraz niżej i niżej; i, wkończu, poczuł on do siebie samego taki wstręt, że plunął z oburzeniem i obrzydzeniem, i zamruczał:

— A niech go, a to dyabeł! Powieście go! Gałgan ten zasłużył w zupełności na postronek.

...A więc tak, jutro punktualnie o siódmej rano.

W tej chwili właśnie przyszedł do Jorga z wizytą kat i... naturalnie zastał go w domu.

Jorg siedział właśnie przy swoim ostatnim obiedzie i z krwiożerczą przyjemnością kończył karpia. Kat chciał zawiązać z nim rozmowę, ale Jorg nie miał ochoty.

— Zostaw mnie pan w spokoju — wykrzyknął. — Pan dla mnie jesteś niczem!

Kat, prawdopodobnie, znalazł by coś w odpowiedzi na tę uwagę, i coś dostatecznie przekonywującego; ale nie zawsze ma się ochotę, nieprawdaż? Przyczepiać się do każdej drobnostki? Więc też kat milczał i w zakłopotaniu przebierał palcami.

Nagle zbrodniarz mocno zakaszlał i począł się dławić.

Kat w niepokoju skoczył ze swego miejsca.

— Co panu jest? Mówże pan! Czy nie udławiłeś się pan czasem ością? W samej rzeczy? Na Boga!

Kat uderzał dławiącego się Jorga po plecach i udzielał mu rad.

— Wsadź pan palec w gardło! Może ość wyjdzie z powrotem. Albo połknij pan kawałek chleba, może to popchnie ją dalej.

A jednocześnie narzekał na wszystkie tony:

— A to niespodzianka! Ależ Boże mój i Panie! I przyjdzie też komu do głowy jeść karpia w taki dzień. Pan zwaryowałeś chyba!

Wkrótce zjawił się lekarz więzienny.

— Co? Udławił się ością? Wspaniale!

Następnie odsunął mankiety nieco w tył i obmacał przełyk, prowadząc palcem na dół i w górę, w prawo i w lewo.

— No, gdzież ona, ta ość przebrzydła?

Przy pomocy zwierciadeł odkrył ją nareszcie, w fałdzie błony śluzowej, niedaleko od początku tchawicy.

— Wybornie! Teraz proszę mi tu podać instrument do wydobywania ości.

Instrument, była to pałeczka, z małą gąbeczką na końcu. Przy wprowadzeniu instrumentu do gardła, ość powinna, zdaje się, uwięzgnąć w gąbeczce.

Czasami tak właśnie i bywa, ale częściej malutka gąbeczka sama zsuwa się przy tych próbach z pałeczki i układa się najspokojniej obok ości. W większości wypadków gąbeczkę bez wielkiego trudu wydostaje się z powrotem.

Tymczasem do celi wpadł blady ze wzruszenia naczelnik więzienia.

— Panie doktorze! Co ja słyszę? Zbrodniarz udławił się ością? Na Boga, ość... ość rybia!...

— Zaraz! Zaraz! Właśnie wprowadzam w gardło instrument do wydobycia ości.

— Tak! Znaczy...

Nastąpiła chwila największego naprężenia. Nareszcie instrument ukazał się znowu na światło dzienne.

— A więc, panie doktorze! Ość... gdzież ona, ta ość?

Doktór uważnie obejrzał instrument, a następnie wyrzekł, wskazując z zimną krwią na szyję Jorga:

— Tam wewnątrz!

— Na wszystkie świętości — jęknął naczelnik więzienia — moje położenie... przecież to okropne... ość... rybia ość...

Doktór był niewzruszony. Wprowadzał do gardła instrument i wyciągał go, wyciągał i znowu zapuszczał.

Na ten czas nadszedł i prezes sądu. Szanownego starca podnieśli z łóżka. Potem nadjechali wiceprezes i prokurator. Obaj w najwyższem podnieceniu

— Ładna historya! Panie doktorze... ość... rybia ość... przeklęta rybia ość... — powtarzali naprzemiany.

— Trochę cierpliwości, panowie! Ość uwięzła w takiem miejscu, do którego trochę trudniej się dostać. Zaraz, ja jeszcze raz wprowadzę instrument.

— No... a więc...

Ledwie zdążył doktor wyciągnąć instrument z gardła, gdy na niego znowu rzucono się ze wszystkich stron.

— Panie doktorze, ość... ość... gdzież ona jest, ta przeklęta ość?

Doktór zbadał instrument i z zadziwiającą zimną krwią znowu wskazał na szyję Jorga.

— Tam, wewnątrz!

Naczelnik więzienia jęknął; prezes otarł zimny pot z czoła; prokurator, z brwiami podniesionemi do góry, patrzył badawczo na instrument. Widocznie jego bystre oko odkryło w nim coś niesłychanego.

— Na tej pałeczce była dopiero co maleńka gąbeczka?

— Także tam, wewnątrz! — ponuro uśmiechnął się doktor i wyciągnął z przełyku Jorga przynajmniej tę gąbeczkę. Swój instrument znał on w zupełności!

Błona śluzowa w gardle Jorga zaczęła opuchać. Wzburzenie ogólne rosło.

— Tu niema co długo się namyślać! Trzeba wezwać specyalistę! Prędzej! Jak można najprędzej. Cokolwiekby to miało kosztować, wszystko jedno.

Zjawił się specyalista, ciągnąc za sobą olbrzymi worek z instrumentami.

— Panie docencie... Jesteśmy w rozpaczy... ość...

Naokoło specyalisty odrazu utworzyła się atmosfera zupełnej pewności i zaufania.

— Ależ, łaskawi panowie! — pocieszał on na wszystkie strony. — Uspokójcie się, proszę, niema się czem martwić! Wszystko skończy się wybornie! Wszak ja tu jestem! Jestem przecież pierwszym specyalistą w dziedzinie chorób gardła, przełyku itd. Jużem tu!

Z głębin olbrzymiego worka zostały wyciągnięte instrumenta i rozłożone w porządku na stole. Specyalista miał zupełnie inne sondy, niż jego kolega lekarz więzienny — zupełnie innej konstrukcyi zwierciadło, i, co najgłówniejsze, daleko bardziej ulepszony instrument do wydobywania ości. Jednocześnie i rękoczyny jego były daleko bardziej subtelne i złożone. Prawda, i on nie wydostał ości z puchnącej wciąż błony śluzowej, ale ta odwaga, z i[illegible] pozostawiał on ość wewnątrz gardła w ciągu p[illegible]torej godziny przy zrozpaczonych okrzykach wszystkich członków starszyzny więziennej, sama przez się była już dowodem wysokiej sztuki lekarskiej i działała nieodparcie.

Wkońcu, nieznośna błona śluzowa w gardle Jorga zupełnie zamknęła się nad ością i ukryła ją w ten sposób przed wszelkiemi spostrzeżeniami.

— Kompres zimny, prędzej!

Błona śluzowa Jorga puchła, oddech wydobywał się z trudnością. Na zegarze wybiła północ, potem godzina pierwsza.

— Kompres z lodem! Prędzej! Prędzej!

Błona śluzowa Jorga puchła w dalszym ciągu. Oddech wydobywał się już ze świstem. Na zegarze wybiła druga, trzecia...

— Nieszczęsny dusi się! Trzeba mu dać możność odetchnąć... za wszelką cenę! — krzyczał prezes i burzył sobie włosy na głowie.

— Trzeba wezwać profesora! — rozkazał prokurator. — Niech go przywiozą natychmiast!

Samo się przez się rozumie, że profesor zjawił się bez żadnych instrumentów i że podług zwyczaju profesorów uporczywie trzymał ręce w kieszeniach pantalonów. Uśmiechając się jadowicie, zwrócił się on do lekarzy ze słowami św. Piotra:

— Wy pracowaliście noc całą i niceście nie złapali... nieprawdaż, kochani koledzy?

— Za pozwoleniem, panie profesorze... — ostro rozpoczął rozstrojony specyalista, ale profesor przerwał mu najdobroduszniejszym, proszącym tonem:

— Kochany kolego! Proszę, zostawcie „profesora“ na boku! Zróbcie dla mnie to ustępstwo! Widzicie, ja nie przywiązuję najmniejszego znaczenia do tych konwenansów!

Następnie zwrócił się do chorego Jorga.

— Ten człowiek dusi się! Widzicie, panowie koledzy, tę *cyanosis*... te wzmocnione wdechy...

— To, co pan widzi, to i ja widzę, panie profesorze! — odpalił specyalista, dotknięty pouczającym tonem profesora. — Ja wogóle widzę wszystko, co potrzeba, i jeszcze dużo więcej.

— Proszę, niech pan zostawi „profesora“ na boku — znowu poprosił ten tonem najdobroduszniejszym, a następnie objaśniał w dalszym ciągu:

— Tu niema się co namyślać, panowie koledzy, ...*oedema glottidis*... Trzeba natychmiast przystąpić do przecięcia tchawicy, rozumiecie...

Specyalista uśmiechnął się, ale na twarzy jego malowała się wyraźna wściekłość.

— Ma się rozumieć, że rozumiem! Ma się rozumieć! Ma się rozumieć! Tu nawet „wypadkowo“ przygotowane są już moje instrumenty do tej operacyi! Bardzo panu dziękuję za pańskie pouczenie. My jesteśmy tutaj nie w klinice u pana!

Ten ton z kolei oburzył profesora:

— Panie specyalisto! — ostro podniósł on głos — ja myślę, że pan możesz jednak wysłuchać parę słów od profesora, który...

Ale tutaj specyalista i lekarz więzienny *unisono* przerwali profesorowi tonem najdobroduszniejszym:

— Prosimy, niech pan zostawi „profesora“ na boku! Niech pan zrobi dla nas to ustępstwo! Widzi pan, my nie przywiązujemy najmniejszego znaczenia do tych umówionych konwenansów!

Duszącego się już Jorga prędko przygotowano do operacyi. Specyalista znalazł się w swoim żywiole. Aż włosy jego stawały od godności. W jednej chwili zrzucił ze siebie surdut i zawinął rękawy koszuli. Podczas operacyi wykazał on z niczem nieporównaną zręczność i szybkość. A przytem zdążał jeszcze od czasu do czasu w najwyższym stopniu delikatnie i elegancko odsuwać profesora łokciem na stronę:

— Możeby pan profesor był łaskaw odsunąć się nieco... ot tak, dziękuję. Teraz dosyć.

Chwila, druga, Jorgowi przecięto tchawicę, a jeszcze za chwilę wprowadzono mu ze zręcznością bez zarzutu rurkę w to przecięcie. Powietrze z szumem wpadało do płuc. Teraz błona śluzowa mogła puchnąć, ile jej się podobało. Jorg z zupełną swobodą oddychał przez rurkę.

— Dzięki Bogu! Człowiekowi dano powietrze, oddycha! — cieszył się prezes.

Naczelnik więzienia płakał z radości. Po wszystkich schodach i kurytarzach przeleciała wieść radosna.

— On oddycha! On oddycha!

Nawet zawsze niezadowolony prokurator wyglądał teraz przystępniej i, wruszony, opuścił na chwilę swoje, zawsze wysoko podniesione brwi.

. . . .

Codzień ze wszystkich stron zapytywano o stan zdrowia Jorga. Wysoko postawione figury z wydziału sądowniczego jedna za drugą zajeżdżały przed więzienie.

— Jak jego zdrowie? Co on robi? Czy nie gorączkuje czasem? Czy dobrze przepędził noc? Jak z apetytem?

Lekarz więzienny ledwie nadążał odpowiadać na wszystkie zwracane do niego pytania. Nigdy jeszcze chyba od początku świata nie pytano tak często i troskliwie o zdrowie człowieka tak niskiego stanu. Tak, jeżeli już raz wysoko postawieni panowie przejmą się uczuciami humanitarnemi, to zawsze przesadzą gorliwością w tym kierunku.

— Panie doktorze, jak postępuje wyzdrowienie? — zapytywał prezes sądu.

Prokurator, wysoko podnosząc brwi, z kolei zapytywał z miną inkwizytorską:

— Powiedz mi pan, panie świadku... Chciałem powiedzieć... panie doktorze, ile czasu przejdzie, zanim nasz pacyent poprawi się zupełnie?

Wiceprezes, widocznie człowiek bardzo subtelny, jak to mówią, nakazywał lekarzowi:

— Panie doktorze, niech pan zajmie się tem, żeby pacyent lepiej się odżywiał... ma się rozumieć, niech będzie najlepsza opieka... pożywne buliony... stare wino... żeby jak najprędzej znowu postawić go na nogi! Bez względu na to, co to będzie kosztować!

Jedna z dozorczyń Jorga, zwykle obecna przy nakładaniu mu opatrunku, dopuściła się pewnego razu przytem maleńkiego niedopatrzenia w wykonaniu wskazówek antyseptyki; wymówiono jej natychmiast posadę. Próżne były jej żale i prośby.

— Proszę, niech pani przestanie! Żadne prośby nie pomogą tam, gdzie chodzi o życie człowieka! Niech pani tylko pomyśli! Gdyby tak od niedbalstwa pani rana na szyi Jorga zaczęła gnoić się i człowiek umarłby z tego powodu!... Oburzające!.. Strach nawet pomyśleć!!... Do widzenia pani, do widzenia! Jesteś pani wolna!

Kiedy za kilka dni mała ranka na szyi Jorga zagoiła się, przystąpiono nawet do masowania.

I kiedy Jorg, dzięki starannej opiece we dnie i w nocy, uczuł się nareszcie takim zdrowym i silnym, jak nigdy w życiu — wtedy, punktualnie o siódmej godzinie rano, zaproszono go na maleńką przechadzkę.

— Niedaleko — powiedziano do niego.

Wszystkiego tylko kilka kroków po kurytarzu, cztery do sześciu stopni na dół i potem — przez nieduże drzwiczki — na maleńkie, trójkątne podwórko... z szubienicą.

Tam uroczyście oczekiwano już na Jorga. Na miejscu stracenia znajdowali się już wszyscy, którzy zupełnie niedawno tak szczerze wpadali w rozpacz z powodu zacieśnienia jego dróg oddechowych. Był także i prezes. Uroczyście podprowadził on do przestępcy pana, całego w czarne ubranego. To był ten sam pan, którego Jorg nieżyczliwie odepchnął od siebie podczas jego wizyty, rzuciwszy mu głupi frazes: „Pan jesteś dla mnie niczem!“

Wtedy, kiedy ość rybia tkwiła w gardle Jorga, prezes z rozpaczą wykrzykiwał:

— Nieszczęsny dusi się, trzeba mu dać możność odetchnąć, za wszelką cenę!

Teraz zaś rozkazał on, zwracając się do kata:

— Rób pan swoje, jak się należy! Odrazu przerwij pan wszelki dopływ powietrza.

Jorg pokręcił tylko głową, jakby zupełnie nie był w stanie pojąć niektórych rzeczy.

I kat zrobił tak, jak mu rozkazano. Wszak pozbawianie ludzi powietrza było jego zawodem.

Obecny przy tem lekarz więzienny dwa razy zbadał huśtającego się na sznurze Jorga, jakby nie wiedział, czego temu brakuje; nie wyjął go jednak z pętli i tylko gniewał się, że serce nie chce przestać w żaden sposób bić. Zadziwiający lekarz... nie prawdaż?

Rachunek specyalisty od chorób gardła za udane przecięcie tchawicy i rachunek kata za dokonaną operacyę pozbawienia człowieka powietrza jednocześnie zostały posłane do zatwierdzenia przez władze wyższe, i obie pretensye zostały dokładnie i jednocześnie zaspokojone.

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy poda imię, a ostatni nazwisko polskiego poety ze szkoły ukraińskiej.

□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Liczebnik. 2. Inaczej walka. 3. Papuga. 4. Owad. 5. Minerał bardzo popularny. 6. Odgłos silny. 7. Przysłówek. 8. Warsztat okrętowy. 9. Ptak. 10. Cygańskie imię żeńskie. 11. Drzewo. 12. Część twarzy. 13. Przyrząd sportowy.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył W. M., Złoczów.

Z podanych liter utworzyć znane polskie przysłowie:
E Ido! A płaszcze Janki na uboczu w ogrodzie.

Logogryf.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek powstawiać odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy utworzy nazwisko francuskiego powieściopisarza, ostatni zaś tytuł jego dzieła.

□ — — □
□ — — □
□ — — □
□ — — □

Znaczenie wyrazów: 1. Inaczej śmierć. 2. Choroba zakaźna. 3. Miasto we Francyi. 4. Imię żeńskie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Basza Ado ma stare brzany.

Bilety wizytowe.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć nazwę kraju i miejscowość, którą odnośne osoby zamieszkują.

MARYA UNO LIGO

I. OLGA CYNISKA

ANNA LILA BURAK

EWA ANDA GABLIG

ANDA AGA HYLOH

Przysłowiówka.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Przez dodanie spółgłosek, powstaną dwa polskie przysłowia:
1) o i ę u i, e i ę u i.
2) a i e o o o i a u y.

Zadanie konikowe.
Ułożył Jerzy A., Nowy Sącz.

ty	zna	do	bó	wcip	ga	to	przy
cie	stwie	do	ty	brzy	u	do	bo
wszy	cno	da	z pia	je	kto	a	zło
wszy	na	głu	ukrę	cu	ni	ci	stoj
zum	stko	sku	czy	choć	sta	gi	je
wet	stko	ci	pi	bicz	da	ność	nę
zło	ro	brzy	i	mą	stu	się	wab
o	wdzięk	to	ma	dłem	po	drość	za

Łamigłówka geograficzna.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek powstawiać odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy utworzy nazwisko jednej z stolic europejskich.

□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Szwajcaryi. 2. Kraj w Afryce. 3. Kraj w Europie. 4. Miasto w Saksonii. 5. Rzeka w Bawaryi. 6. Miasto we Francyi.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *S. M. Kraszewskiej:* **Żórawie.** Powieść.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.